

Biblioteka im Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

3792.c



**DESYK
KAGANICA
JEDNODNIÓWKA**

**WYDAWNICTWO SAMOPOMOCY UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO
SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIEGO MĘSKIEGO W LUBLINIE.**

LUBLIN

ROK SZKOLNY 1925/6.

Cena jeden złoty.

1844



THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

1844

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

BŁYSK KAGAŃCA

JEDNODNIÓWKA UCZNIÓW SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIEGO MĘSK. W LUBLINIE.

LUBLIN W MAJU

1926.

OD REDAKCJI.

WYDAJEMY TEN PIERWSZY NUMER JEDNODNIÓWKI Z NADZIEJĄ, ŻE OBUDZI ON W SERCACH CZYTELNIKÓW SZCZERY ODRUCH SYMPATJI DO ZBIOROWEJ PRACY, KTÓRA ZWŁASZCZA W OBECNYCH CIĘŻKICH DNIACH DLA OJCZYZNY JEST TAK NAM POLAKOM POMOCNA I KOWANIE NIECZNA. CHCIELIBYŚMY, BY TEN GŁOS WSPÓLNY UCZNIÓW SEMINARJUM NAUCZYCIELSKIEGO ZDOŁAŁ WZBUDZIĆ W CZYTAJĄCYCH NIE KRYTYKĘ MŁODOCIANYCH SIŁ, LECZ CHĘĆ DO CIĄGŁEGO HOŁDOWANIA SZCZYTNIEJSZYM IDEOM, NIŻ SPRAWY ŻYCIA OSOBISTEGO. TO JEST PRZEDWSZYSTKIEM CEL, KTÓRY NAM PRZYŚWIECAŁ W PRACY NAD WYDANIEM TEJ PIERWSZEJ JEDNODNIÓWKI. ŻYCZYLIBYŚMY TEŻ SOBIE, BY PRACA TA ZNALAZŁA NAŚLADOWCÓW I W INNYCH ZAKŁADACH NAUKOWYCH, GDZIEBY MOŻE OWOCE JEJ BYŁY I OBFITSZE I LEPSZE, NIEMNIEJ JEDNAK CIESZYLIBYŚMY SIĘ Z TEGO, ŻE PRZECIEŻ PRACA NASZA ZNALAZŁA ECHO W SZERSZYCH KRĘGACH.

Š P I S R Z E C Z Ý:

- 1) „Ludzkość wciąż w Boga płynie” — Gral. 2) Do pracy — J. Pietrzyk. 3) Praca społeczna nauczyciela na wsi — J. Pietrzyk. 4) Walc (sonet) — J. Wüstenberg. 5) Elaborat lekcji — Wł. Kołodziejczyk. 6) Do czego człowiek może dojść — J. Paśnik. 7) Z błahostek. St. J. Rauchenberg. 8) Pamięci Stanisława Staszica — Gral. 9) Ku czci Żeromskiego i Reymonta — H. Gołkowski. 10) Zagadnienie śmierci u Żeromskiego i Reymonta — A. Okoń. 11) Z wycieczki tatrzańskiej w ciągu wakacji r. 1922 — W. B. 12) Pieśni alpejskie, przekład z „Wilhelma Tella” Schillera — St. J. Rauchenberg. 13) Z wycieczki entomologicznej w r. 1924 — W. B. 14) Wizja — J. Wüstenberg. 15) Cel i zadania drużyny seminarjalnej — Malesza. 16) Złot Narodowy — A. Sikora. 17) Obóz w Kozłowie — A. Sikora. 18) Hania — St. J. Rauchenberg. 19) Kasa Pożyczkowo-Oszczędnościowa — A. Poleszak. 20) Reduta — Łukaszek. 21) Moje wrażenia z pierwszego występu chóru naszego seminarium — St. Ożyp. 22) Pieśń wieczorna — Gral. 23) Kronika — A. Cybula i St. Dymara. 24) Fotografie, reprodukcje artystyczne i drzeworyty.

„LUDZKOŚĆ WCIAŻ W BOGA PŁYNIE”.

Poco żyjemy, dokąd zmierzamy? Dlaczego wogóle po dojściu do rozumu nie pozbawiają się młodzieńcy życia, lub nie wkraczają na drogę upadku moralnego? Co nas trzyma na uwieży i nie pozwala na rozpętanie się w nas najniższych instynktów zwierzęcych? Czy interes osobisty, dyktowany przez zdrowy rozsądek — nie, tenby raczej nas zachęcał do pójsia w ślad Nerona, Kaliguli, okrutnych Ludwików francuskich, Borgiów, Semiramid, Katarzyn lub bandytów, jaskiniowców, raubritterów etc., etc.; lecz coś nas trzyma na uwieży, to coś — to jest właśnie owa dążność do doskonałości, która jest nam wrodzona. Nie masz człowieka, któryby bez własnej winy się zdeprawował i ową drogocenną perłę, dążenie do doskonałości, tęsknotę do doskonałości zgubił.

A i ci, którzy żyją w ustawicznej walce z tą wrodzoną skłonnością, ci — te zwierzęta moralne, jednak takimi zwierzętami, mimo wszystko, mimo to, że sami chcą zostać zwierzętami, stać się niemi nie mogąc albo ginąc przekleci, albo nawracając się na drogę wspinania się, ale gdzie? w góry myśli, w szczyt zagadki szczęścia, w szczęście, w Boga, lub w coś podobnego. Najgorszy neronida, rozpasy Darjusz, krwiożerczy satrapa perski, cynik — wreszcie znudzi się przy dzbanie falernu, otoczony najdrogocenniejszymi huryskami; a dlaczego? bo nie jest zwierzęciem i albo umrze w rozpacz, lub się nawróci na drogę dążenia do doskonałości.

Taka to już dola człowieka. A cóż to za droga, prowadząca do doskonałości? Człowiek zależnie od bogactwa umysłowego i uczuciowego duszy, zależnie od zasobu i dorobku kulturalnego, osobistego, stawia sobie mniej lub więcej wzniosłe cele, ale najniższe z nich leżą jednak zawsze poza granicą świata doczesnego. Nie jest to paradoksem — czyż kogo zadowoliło kiedy, choć w najmniejszym stopniu, osiągnięcie celu, który sobie uprzednio postawił?

Nigdy, nigdy i jeszcze raz nigdy. Gdy zbliża się człowiek do upragnionego celu, jest w nim największa emocja i to, co można nazwać bliskością szczęścia, ale z chwilą, gdy już dopiął celu, cel ten mu natychmiast powszednieje i staje się jakby naturalną rzeczą, którą trzeba było osiągnąć i od razu człowiek stawia sobie inne cele, po których dopięciu, stawia sobie znowu inne i tak wiecznie trwa gonitwa za celem aż do śmierci.

Dlaczego? — bo cel ten „nie jest z tego świata”. Cóż więc jest celem tego świata? — dążenie do celu — samo dążenie do celu — samo w sobie. To dążenie jest właśnie odrodzeniem, albo raczej odradzaniem się, wiecznem odradzaniem.

Gdy człowiek na chwilę chociaż chce się zbuntować przeciw temu bezwzględnemu prawu wiecznego odradzania się i chce choćby na chwilę „spocząć na laurach”, doznaje cierpień moralnych, związanych z nadużywaniem odpoczynku. Konstrukcja psychiczna człowieka wymaga odpoczynku dla ciała i duszy (sen), ale nie znosi nadużywania tego odpoczynku (wstręt ten jest doprowadzony nawet do tego, że i we śnie myśl ludzka wiecznie niespokojna — pracuje). Człowiek, który odpoczywa duchowo i skrywa ducha na dnie, w ciele, a żyje tylko rozkoszami zmysłów, zdziecinnieje.

W takim stanie, gdy doczeka śmierci, ogarnia go nagły niepokój, nastąpi samosąd ostateczny.

Wierzmy, że celem naszym jest odradzanie się, wieczne odradzanie w dosłownym tego znaczeniu.

Zasługą człowieka nie jest to, że napisał tyle a tyle książek, lub wygrał tyle a tyle bitew,

lecz zasługą jego jest to, z jaką siłą dążył do doskonałości, z jaką siłą się odradzał. Nie chodzi w tym wypadku o wynik pozytywny, lecz o siłę walki; dlatego też często napisanie książki nawet z nakładem wielkiej pracy może położyć takie same, lub nawet mniejsze zasługi dla idei człowieka, niż np. zarabianie z wielkim trudem i poświęceniem na chleb dla swych dzieci. Poświęcenie się i walka o zdobywanie coraz to wyższych celów — to odradzanie się człowieka, które powinno być wieczne i bez wypoczynku.

Jeszcze kilka słów o tak zwanym „normalnym człowieku”. Jest to najgorszy typ ludzki, normalny dorobkiewicz, błazen normy, który wszystko uważa za naturalne, do kościoła chodzi z przyzwyczajenia i układa sobie życie jednostajnie i sprawnie jak w zegarku. Człowiek, który uważa wszystko za naturalne i z życia, tej wielkiej idei, robi parodię, to jest w tym wypadku wygodne łóżko, jest faktycznie nieszczęśliwcem. Przypomina on trochę człowieka skazanego na ciężkie więzienie, który jednakże tem się zbyt nie przejmując, ale owszem urządza się tam, jak może najwygodniej; urządza sobie przy protekcji dozorców gniazdko i żyje sobie szczęśliwie w swej celi.

Wyobraźmy sobie wówczas gniew tego, który go skazał, aby cierpiał za winy. Podobnie jest i z człowiekiem na ziemi. Nie róbmy z życia parodji, wszystko podziwiamy, walczy my ze wszystkim, co nam stoi na drodze do doskonałości; wiecznie się odradzamy, gdyż to jest jedynym naszym celem na tej ziemi.

Pamiętajmy, żeśmy tu tylko przelotnie i w przyszłość się wyrwamy.

A teraz postawmy sobie pytanie, do czego nas to odradzanie, kontynuowane do śmierci, doprowadzi. Niewątpliwie, że do prawdy, bezwzględnej prawdy. Tą prawdą może okazać się Bóg, lub inaczej, tę prawdę możemy jakoś nazwać np. Bogiem.

Istnienie chwilowe na ziemi rozentuzjasmowane odrodzeniem z chwilą śmierci ostatecznie pozna, że z materialnego punktu widzenia błąkało się bez celu, będąc tak blisko celu t. j. zetknięcia się oko w oko z prawdą.

Jak kropla dżdżu, z chwilą, gdy upadnie na ziemię, skazana jest na męczarnie wysychania, zanim znów przez swą pozorną śmierć, t. j. wyschnięcie, nie połączy się ze swą matką chmurą, wtedy widzi, że jakkolwiek życie samo nie miało dla niej żadnej wartości, choć opromienione blaskami słońca, to jednak samo wysychanie, same męczarnie, jako prowadzące do najwyższego celu, były celem jego istnienia na ziemi.

Z punktu widzenia na jednostkę człowieka moglibyśmy przypuścić, że ową chmurą dla człowieka jest niebo wieczne.

Tam łączy się świadomość człowieka jednostki ze świadomościami morza innych jednostek w ten sposób, że, chociaż wszyscy poznają, iż ich własna osobowość na nic nie była i nie jest przydatna, to znajdują jednak szczęście w tej świadomości, w której źródłem jest świadomość ogółu; w ten sposób każda jednostka w przyszłym życiu unieśmiertelnia swoją własną świadomą osobowość.

Tem jakby lepszem różnych osobowości jest miłość bliźniego, która tutaj na ziemi, oparta tylko na wierze i intuicji, staje się prawdą w życiu pozagrobowym. Tę krystalizującą się w poszczególnych indywidualnościach świadomość ogółu odczuwa również, choć może nie tak doskonale religja hinduska

DO PRACY.

*Teraz gdy dymy pożarne opadły,
Gdy krew już wsiąkła, a słońce swobody
Wybiegło nad kraj w niewoli poblady;
Teraz do pracy! Kto Polak! kto młody!
Niech wreszcie spieszy, bo na niego czeka
Przy pracy potem oblany łuf bratni,
A hańba temu, kto rozmyślnie zwleka,
Kto mógłby pierwszy, a przyjdzie ostatni.
Czas nam otrząsnąć się z wiekowych pleśni,
Czas spojrzeć w słońce, rozprężyć ramiona,
Bo z pracy wzrośnie, a na skrzydłach pieśni,
Wzleci potęga Polski nieskończona.
Więc młodzi bracia zawińmy rękawy:
Każdy przy swoim niech stanie warsztacie;
A przez sumienną pracę, przez pot krwawy,
Moc Polsce, sobie uznanie zyskacie.
A jeśli komu zabrakłoby siły
Wytrwać i zwalczyć przeszkody, lub jeśli
Zwątpiłby, niech idzie pomiędzy mogiły
Tych, co Ojczyźnie wszystko już zanieśli,
Tu zaś przy prochach brata niech upadnie
I na nagrobku niech wesprze pierś swoją,
A czarne myśli uciekną gromadnie,
Bo taki kurhan jest słabym ostoją.
Niech zgodnie, gromko, tak jak Polska cała
Na zew ten bracia głos jeden się wzbije,
Tak żyć, by Polsce rosła z życia chwała,
Każdy z nas chce i od dziś tak żyje!*

J. Pletrzyk.

(nirwana) i chrześcijańska — niebo stanowi pewną siłę, energję potencjalną samą w sobie.

Bóg ze swoim niebem stanowi źródło wszelkiego dobra, które promieniuje z Boga, nie wyczerpując go jednak, gdyż Bóg jako siła, energja nie ulega zniszczeniu, ani nawet, jak materja przemianie (przemianie natomiast podlegają wszelkie twory boskie, a podlegające prawom przyrodniczym to jest materja). Ta energja boska przyciąga do siebie wszystkich, gdyż ma wielką siłę, a cechą siły jest przyciąganie.

Ta idea — prawo, zresztą, jak i wszystkie inne prawa odbija się jak w lustrze w cząstce tej energji, materji ziemskiej, symbolizując się w prawie Newtona o przyciąganiu ciał. Ale wszelka siła przyciągania ma dwa kierunki wprost przeciwne t. j. kierunek dośrodkowy i kierunek odśrodkowy; i dlatego im silniej jednostka jest przyciągana do Boga (siła dośrodkowa), tem jednocześnie silniej jest od Niego odpychana (siła odśrodkowa); zależy teraz od jednostki, czy podda się tej sile odśrodkowej i jak kometa będzie strącona na dno piekła (szatan), czy też dotrwa do końca i zleje się z innemi w Bogu. Stąd wynika, że im większa zasługa, gdy człowiek coraz bardziej zbliża się do Boga, tem większa hańba i kara, gdy tenże człowiek, będąc bliżej Boga, odwróci się nagle od Niego (przykład: strącenie aniołów zbuntowanych na dno piekieł).

Jako siła, ułatwiająca nam utrzymanie się w sferze przyciągania boskiego, jest przede wszystkim religja i cały dorobek duchowo-kulturalny ludzkości.

W religji i czystej kulturze składamy najczystsze i najdroższe skarby naszego istnienia i dlatego słabi winni tem więcej czerpać z tej skarbnicy pokarmu aby nie żywić się trucizną. To „czerpanie“, jest właśnie t. zw. „erudycją“ czyli wychowaniem, kształceniem (dosłownie) człowieka. Wychowanie dla człowieka jest konieczne, zwłaszcza, gdy dany człowiek sam jest słaby, i mało ma siły duchowej, już nietylko na to, aby mógł coś dać nowemu ludzkości, ale żeby dla jego własnej duszy wystarczyła. Ci, którzy mogą sami tworzyć coś, co byłoby własnością wszystkich, ci ostatecznie mogą mniej zajmować się „erudycją“, ale słabsi niech się na niej wspierają.

Gral.

PRACA SPOŁECZNA NAUCZycIELA NA WSI.

Zadanie i obowiązki nauczyciela wogóle są bardzo wielkie, ale specjalnie obszerne pole działania i naprawdę duży moralny obowiązek względem społeczeństwa ma nauczyciel, pracujący na wsi.

W powszechnej miejskiej szkółce rola nauczyciela ogranicza się przede wszystkim do urabiania młodych dziecięcych dusz, do kształcenia ich umysłu, do troski o zdrowie i moralny rozwój ciała działwy, jako społecznik zaś nie jest w tym stopniu obowiązany do pracy społecznej, ponieważ miasto, czy miasteczko nawet jest środowiskiem o wyższym poziomie kulturalnym niż wioska dzisiejsza, zatem i życie społeczne tam jest lepiej zorganizowane, a tem samem praca społeczna — kulturalno — oświatowa rozkłada się na większą liczbę ludzi, albo nawet na instytucje specjalne i nie spada całem ogromnem brzemieniem na barki jednego człowieka, jak to ma miejsce na wsi. Ciężar tej pracy jest tak przygniatający, że wielu nauczycieli nie zdobywa się nawet na odwagę podjęcia go, wielu zaś choć go początkowo podejmie, po kilku szarpnięciach, po kilku wysiłkach i nieudalych lub na pół udalych próbach, rzuca wszystko, wycofując się z przeświadczeniem, że jest to praca wieków i mężów opatrnościowych, a nie zwykłego śmiertelnika — nauczyciela.

Nie wolno nam grzeszyć zarozumiałością, to prawda; ale nie wolno też nie ufać w swoje siły, ni w błogie skutki wytrwałej społecznej pracy, przykłady bowiem, wyrosłe choćby na naszej tylko ziemi, nie usprawiedliwiają zupełnie pesymizmu. Przecież obserwujemy, ile to już po kilkunastu latach pracy nauczyciela, nie zamykającego się jedynie w czterech ścianach szkoły z gromadą dzieci, może zmienić na lepsze, ile dobrego może nauczyciel przysporzyć i jak rozszerzyć horyzont myślenia tych, którzy najczęściej nie wybiegali swą myślą poza miedzę własnego kawałka ziemi. A najjaskrawszym i najpiękniejszym zarazem przykładem tego, to kilkunastoletnia działalność społeczna ks. Bliżńskiego, dzięki której Lisków, przeciętna sobie (a nawet gorzej niż przeciętna) wioszczyna, stał się obecnie wzorem polskich wsi, wzorem, którego możemy się nie powstydić przed najkulturalniejszymi narodami Europy.

Możemy oczywiście nie podejmować się pełnego, gruntownego reformowania całego życia wsi, jeśli nie czujemy tyleż sił, lub jeśli warunki na to nie pozwalają, ale świętym obowiązkiem nauczyciela jest przygotowywać grunt do tej pracy, która rozciąga się potem na całokształt społecznego życia ludu.

Dla nauczycieli, którzy w kierunku uświadomienia i uspołecznienia wsi nic nie chcą, czy też nie mogą z powodu braku wiary w owocność wysiłku zdziałać, nie powinno się znaleźć ani jednej posady, zwłaszcza w warunkach obecnych, a jeżeli już tak być nie może, to przynajmniej każdy, starający się zając posadę nauczyciela, niech zastanowi się wprawdzie nad tem, czy potrafi i na tem polu coś zrobić, jeśli zaś nie, to niech pozwoli przyjść na to miejsce innemu, który będzie mógł lepiej i wszechstronniej odpowiedzieć zadaniom nauczyciela; gdyż nie wolno nam robić z pracy o charakterze przedewszystkiem ideowym, pracy wyłączn'ie zarobkowej t. j. nie możemy jej tak traktować jak np. traktuje swoje zajęcie kamieniarz, tłukąc kamienie na szosie.

Po tych ogólnych rozważaniach, stwierdzających konieczność pracy społecznej na wsi, należy zastanowić się nad warunkami tejże, oraz nad sposobem i środkami prowadzenia. Idąc między lud, by pracować z nim dla wspólnego dobra, trzeba zawsze pamiętać o tem, że lud jest materialistą i żyje życiem materialnem, celem którego jest ciągła troska o zapewnienie sobie dachu nad głową, kawałka chleba i ubrania, a także o tem, że lud jest ostry, nieufny, podświadomie często odnosi się z rezerwą do tego, co nowe, nieznane, co przychodzi od inteligencji, jednym słowem z poza wsi. Dlatego też nie porwą go najpiękniejsze idee, niesione mu tylko w słowach, jeśli nie przedstawi mu się ich pod kątem widzenia korzyści materialnej, jeśli nie zostaną poparte namacalnymi dowodami.

Pamięć więc o tych dwóch względach w pracy społecznej wśród ludu jest najlepszą rekojmią dobrych jej wyników. Nauczyciel, przystępując do pracy poza szkołą, musi się najpierw zorientować, w jakich warunkach gospodarczych znajdują się mieszkańcy danej wioski, jaka jest ich zamożność, względnie niedostatek. Jest to rzecz naprawdę ważna, bo od tego wiele przedsięwzięć nauczyciela będzie uzależnionych. Bogatszy bowiem element jest zawsze podatniejszym materiałem na wpływ kultury, gdyż żyje w warunkach sprzyjających przenikaniu oświaty, a oświata jest kamieniem węgielnym kultury. Stwierdzenie zaś przybliżonego stanu zamożności mieszkańców nie jest rzeczą trudną i ten, kto choć trochę umie patrzeć, nie potrzebuje prawie informacji. Sam widok wioski i jakość gleby powie nam to, pozwalając odrazu wyszukać najsłabszą stronę życia gospodarczego wsi oraz zwróci uwagę na najbardziej zaniedbane źródła dochodowości wieśniaka, by móc przedsięwziąć oczyszczenie, lub wogóle odkrycie tych nieznanych jeszcze chłopu, złotodajnych źródeł, ponieważ przez to nauczyciel ma możliwość zyskania odrazu zaufania do swej osoby i zapewnienie sobie ze strony mieszkańców wsi udziału w finansowaniu swoich planów.

Komuś może się wydawać, że są to mrzonki chorego umysłu, o zrealizowanie których kusić się nie warto. bo jeśli temu nie podołał rząd ni instytucje specjalne i organizacje, to nauczyciel tembardziej nie będzie mógł wywrzeć żadnego wpływu na stan materialny wieśniaków. Otóż jestem głęboko przekonany, że jeśli komu, to nauczycielowi najłatwiej jest zmienić wiele pod tym względem, bo nauczyciel właśnie, niosąc wiedzę rolniczą i dając wskazania praktyczne, wynikające z niej i zawsze opiekując się rzucanymi przed siebie ziarnami, jest bliższy wsi i może łatwo sobie wyrobić wiarę we wszystkie swe poczynania.

Wyjść zaś można tylko od pracy nad podniesieniem materialnem wsi, gdyż jest to fundament,

na którym dopiero będzie się mogła rozwijać wszelka praca społeczna. Jak w szkole, by dziecko jak najwięcej nauczyło się, staramy się o wzbudzenie w nim jak największego zainteresowania, tak samo nie wolno nam też zapominać o tym doniosłym w pracy wychowawczej czynniku w stosunku do starszych.

Trzeba zatem przenieść się w sferę zainteresowania ludu i zdać sobie dokładnie z tego sprawę.

Zainteresowania ludzi obracają się przedewszystkiem około tego, co jest bezpośrednio lub pośrednio związane z ich osobami t. j. w pierwszym rzędzie około warunków swego życia fizycznego, koło środków zapewnienia sobie bytu, czyli koło warsztatu pracy, a następnie koło życia duchowego.

Ponieważ warsztatem pracy ludu jest zagon czarnej ziemi, ponieważ wszystkie troski i zabiegi z nim się najściślej łączą, zatem całkiem staje się naturalne, że i świat zainteresowań włościanina kręci się około tej ziemi, kawałka chleba i ciągłej troski o jutro.

Z tego zaś prosty wniosek, że lud można zainteresować tylko kwestją podniesienia wydajności jego pracy na roli np. sprawą jak najlepszego dostosowania gospodarstwa do warunków lokalnych, sprawą zastąpienia dotychczasowego złego sposobu gospodarowania, polegającego na samowystarczalności i nadania gospodarstwu charakteru (zależnie od warunków) ściśle rolniczego, mlecznego, hodowlanego lub przemysłowego, oraz zastąpienia go innymi popłatnemi gałęziami pracy, związanymi z rolnictwem jak: ogrodnictwo, warzywnictwo, pszczelnictwo, wreszcie zaś sprawą spółdzielczości.

Zdawałoby się, że są to zadania, przekraczające siły instruktora, specjalisty, nie tylko nauczyciela, który ma prócz tych inne jeszcze i ważniejsze obowiązki, bo pracę w szkole. Ale temu znów stanowczo zaprzeczę. Nauczyciel nie ma może odpowiedniego przygotowania w tym kierunku, lecz jeśli mu dobrych chęci nie braknie, to zawsze znajdzie sposobność i pole do pracy, bo tam, gdzie dla najprostszych form postępowego gospodarowania nikt nie ma zrozumienia, nauczyciel byle przejrzał to i owo, a przedewszystkiem zaprenumerował jakieś czasopismo fachowe np. gazetę — Gospodarski Poradnik, Ogrodnik, lub inne, a następnie zestawił z tem, co w rzeczywistości ma miejsce, to już jako człowiek inteligentny może być naprawdę bardzo cennym doradcą, może o wielu już rzeczach pouczyć gospodarzy, zachęcić ich do podjęcia prób jakichś w swoich gospodarstwach, a to na początek będzie bardzo dużo. Prace w tym kierunku najlepiej zacząć odrazu, na całej linii, t. j. zacząć ją ze starszymi i z młodzieżą, przez wciągnięcie bowiem wszystkich do niej łatwiej będzie o dobre wyniki. Najlepszym sposobem skupienia sił młodzieży w jedno to założenie Koła Młodzieży, a rozwój i owocna praca Koła zależy nie tylko od nauczyciela, ale i od pozyskania starszych, od ich ustosunkowania się do pracy i zamiarów młodzieży. Gospodarzy zaś można przyciągnąć stalemi, raz na tydzień, czy raz na dwutygodnie odbywającymi się pogadankami, o charakterze wyżej omówionym, poczem można nakłonić do założenia Koła rolniczego. Na tak przygotowanym gruncie Koło rolnicze raz założone byle tylko nie zostało zaniedbane, będzie pracować owocnie i coraz intensywniej, w miarę jak zacznie wzrastać zrozumienie potrzeby zbiorowej pracy i uświadomienie wśród ludu stanu się wreszcie ośrodkiem, skupiającym całe życie społeczne wsi. Młodzież, mająca więcej inicjatywy i zapału niż starsi, ale mniej praktyczności i wytrwałości, potrzebuje czynnej i stałej współpra-

cy nauczyciela, polegającej przede wszystkim na kierowaniu inicjatywą młodzieży, na wciąganiu do pracy jednostek biernych, lub pracujących tylko dorywczo, bez całkowitego przekonania i oddania się tej pracy, jednym słowem nauczyciel tu ma być tem niewygasłym nigdy zarzewiem, przynajmniej tak długo, póki nie znajdzie i nie urobi kogoś w ten sposób, by zajął jego miejsce, jako ten dobry duch koła, jako ta istotna jego treść.

Ale i wtedy nawet obecność nauczyciela na wszystkich zebraniach i imprezach, urządzanych przez koło, jest ze wszechmiar pożądaną, ponieważ to w dużym stopniu przyczynia się do nadania pracy odpowiedniej powagi, zachowania wytkniętego kierunku, a zabawie zapewnia odpowiednią przyzwoitość i umiarkowaną wesołość.

Nie wdaję się tutaj w szczegóły, bo byłoby to bodajże bezcelowe; szczegóły bowiem i drobiazgi zależą zawsze od warunków lokalnych, te zaś są rozmaite i wymagają przystosowania się do nich, szablon zatem odbiłby się ujemnie na podejmowanej pracy, a nawet zadecydowałby ujemnie o rozwoju i o istnieniu Koła. Samo zorganizowanie Koła Młodzieży Wiejskiej, gdy się grunt odpowiednio ku temu przygotowuje, gdy się uderzy we właściwą stronę psychiki młodzieży wiejskiej, jest rzeczą najłatwiejszą, a jeśliby nawet były jakieś trudności np. o charakterze organizacyjnym to, byle się zwrócić do powiatowego czy wojewódzkiego Związku Kół Młodzieży Wiejskiej, zostaną one usunięte przez informacje lub przez instruktora, który przybędzie na miejsce.

Pamiętać jednak i tutaj należy o jednym mianowicie, by praca w kole była zawsze połączona ze strony najwięcej interesującej, a jej przeprowadzenie zorganizowane również w sposób podobny. W jakim kierunku idą zainteresowania młodzieży, a zatem i praca młodzieży, dobrze, choć ogólnie, ujmuje statut Kół Młodzieży, należy ją tylko uzupełnić obserwacjami na miejscu i jeśli potrzeba odpowiednio zmodyfikować (naturalnie w drobnych tylko szczegółach i w toku samej pracy już, nadając jej kierunek odpowiedni). Podobnie rzecz się ma w pracy ze starszymi, z gospodarzami.

Skoro tylko wyraźnie uświadomimy sobie kierunek, w jakim mamy ją prowadzić, nie trudno będzie z orientacją, od czego zacząć, do czego przejść następnie, jak zakres roboty rozszerzyć, jak uczynić ją potrzebą wszystkich wieśniaków.

Tutaj chodzi tylko o to, by nauczyciel, idący na wieś, zdał sobie sprawę z doniosłości tej pracy, by ją należycie ocenił i zrozumiał, że kwestja uświadczenia i uspołeczniania ludu jest kwestją naszego „być albo nie być“ i że temu ma w pierwszym rzędzie zaradzić szkoła, zatem nauczyciel. Lud obecnie nie jest już tym nieużytym ugiem, ale raczej karczowiskiem, kopaniną, głęboko zrytą i przeoraną przez wielką wojnę oraz ostatnie czasy, należy tylko teraz siać w nią dobre ziarno postępu, wiedzy, pamiętając, że na „nowinach“ już nie tylko chwasty, ale i chlebem pachnące zboże bujnie zawsze wzrasta.

Dziś w każdej niemal wiosce znajdują się już jednostki, którym wojna wiele pokazała, wiele nauczyła, przygotowała do szukania nowych dróg, wszczepiła im w piersi pragnienie zmiany dotychczasowego sposobu życia, uzdolniła ich serca i umysły do przyjęcia nowych form życia, ale ci często nie ufają sobie, często brak im potrzebnej energii i przedsiębiorczości, lub jeśli nawet i te zalety posiadają, to rozbija się ich wysiłek o spiętrzone przeszkody, z których największą, to nieuświadczenie (sąsiadów) mieszkańców wsi i brak pomocy tak materialnej jak

W A L C

(sonet).

CZAROWNE WALCA BRZMIĄ TONY,
MELODJA CICHĄ I SMĘTNĄ
I GŁOŚNIEJ BIJĄ W TAKT TĘTNĄ,
ODDECHÓW RYTM PRZYSPIESZONY...

SEN JAKBY Z DAWNA PRZEŚNIONY,
ŚWIADOMOŚĆ MGLISTA I MĘTNĄ...
MYŚL JAKAŚ ZDAWNA PAMIĘTNĄ
I NAGLE SZAŁ ROZBUDZONY.

W TAKT WALCA SNUJĄ SIĘ CIEŃ,
HARMONIĄ RUCHÓW ZŁĄCZONE,
A W SERCACH BŁOGIE MARZENIE.
ZACHCENIA JAKIEŚ SZALONE
NAMIĘTNYCH PRAGNIEŃ PŁOMIENIE
I CICHE SZCZĘŚCIE WYŚNIONE.

Józef Wüstenberg.

i moralnej, w formie rad, wskazówek, pouczeń i zachęty.

Pomocy materialnej wprowadzić nauczyciel nie udzieli, ale w tym drugim wypadku może właśnie bardzo wiele pomóc, a przez rozumne wskazania może poprowadzić lud do większej zamożności, może usunąć temsamem brak pieniędzy i dać możność finansowania pomysłów, uspołeczniających wieś i podnoszących ją materialnie. Potrzeba tylko, by ktoś przyszedł z zewnątrz do wsi, by jeszcze więcej uświadczył, zachęcił i zgromadził razem te twórcze siły oraz by poparł tych, którzy w pojedynkę przebojem idą już naprzód z postępem, a którzy nie są nawet tak wielką rzadkością dzisiaj na wsi. Trzeba tylko kogoś, kto by we właściwym kierunku pchnął te spoczywające w bezczynności rodzime siły ludu, by wskazał im drogę do dobrobytu i kultury; a gdy raz dobrze zostaną wyrwani z martwoty duchowej, z tej obojętności społecznej, raz zbudzeni ze snu nieświadcności i zaprzęgnięci do pracy, to podobnie jak martwa bryła śniegu pchnięta po długiej pochyłości górskiej, porywa ze sobą coraz inne i coraz większe masy śniegu i wali się lawiną, zasypując jakiś wąwóz, tak siły ludu będą się po drodze wzmagaly, aż porwawszy wszystkich, z rozmachem lawiny zasypią wszystkie wąwozy, wszystkie jaskinie ciemnoty i nędzy.

Takim zaś, który najłatwiej może poruszyć te śpiące i nieświadome siebie siły, jest niewątpliwie nauczyciel. Zatem to, co wyżej powi działem, a co odnosi się zwłaszcza do tych, którzy dopiero mają podjąć pracę na wsi, może każdy przyjąć lub odrzucić, jeśli rozumie inaczej i lepiej owe zadania społeczne, ale tak czy inaczej, rozpatrzyć musi to zagadnienie i obojętnie przejść obok niego nie może.

Kto bowiem naprawdę czuje się Polakiem, komu droga jest przyszłość i świetność Ojczyzny i kto chce nieść przed narodem „kaganiec oświaty“, a ma choć odrobinę uczciwości obywatelskiej, ten musi się zastanowić i to zastanowić głęboko nad tem, w jaki sposób będzie pracował nad uświadczeniem i uspołecznieniem ludu, bo to dla rozwoju i potęgi Polski ma pierwszorzędne znaczenie.

Pietrzyk.

Elaborat lekcji mającej się odbyć w klasie IV szkoły ćwiczeń przy seminarjum.

Przedmiot: język polski.

C e l.

- 1) na podstawie czytanki p.t. „Narodziny wozu” ułożenie planu;
- 2) przerobienie danej czytanki.

Plan lekcji:

1. Nawiązanie.
2. Lekcja właściwa.
3. Zakończenie.

1) W nawiązaniu zapoznam dzieci z pożytkiem, jaki dają nam koleje, samochody (aeroplany) i t. p. W lekcji właściwej wyjaśnię dzieciom niezrozumiałe wyrazy tak, aby zrozumiały treść.

Po przeczytaniu czytanki przez dzieci (odstępami) i wdechach odpytuję treść, aby była pewna całość. Przy tem odpytaniu pokazuję dzieciom gałąź (jak to dawniej człowiek ciągnął ciężary na takiej gałęzi).

Omówienie szczegółowe.

Które z dzieci było w Świdniku? (wszystkie). A w jaki sposób dostałyście się do Świdnika? (koleją).

Czy tylko koleją moglibyśmy jechać do Świdnika? (samochodem, dorożką, rowerem, wozem, iść pieszo). Tu omówię pożytek, jaki dają nam koleje, samochody, aeroplany i t. p. czyli nowsze wynalazki. A czy dawniej ludzie jeździli kolejami, samochodami, dorożkami, aeroplanami, rowerami? (nie). Więc czym mogli jeździć? (wozami). A gdy wozów nie było, czym jeździli? (chodzili pieszo).

W jaki sposób przenosili ciężary? (ciągnęli po ziemi). A gdy ciągnął człowiek jakieś zwierzę upolowane, to skóra mogła się zniszczyć. Jak więc mogli sobie radzić? (ciągnęli na gałęziach). Więc teraz sobie przeczytamy, jak to dawniej ludzie sobie radzili z przenoszeniem ciężarów. Wyjąć książki na str. 20. Czytać będą dzieci odstępami, zawierającami pewną całość (myśl logiczną). Po przeczytaniu każdej takiej części objaśniam dzieciom niezrozumiałe wyrazy. Po przeczytaniu całości każę książki schować, a wtenczas zrobię wdechy.

Później odpytuję treść.

Odpytanie treści. W jaki sposób możemy się łatwo przenieść z miejsca na miejsce np. z Lublina

do Warszawy? (koleją, samochodem). Czem jeszcze? (rowerem). A czy tylko ludzie mogą jeździć koleją? (nie, możemy wozić różne materiały). Czem są dla nas koleje? A dawniej w jaki sposób ludzie dostawali się z miejsca na miejsce? (pieszo). A czy były takie czasy, w których nie było samochodów, (wozów)? (były). Gdzie wtedy mieszkał człowiek? (w jaskiniach).

Czem się zajmował? (polował, zajmował się myślistwem).

W jaki sposób dostawał upolowaną zwierzynę do swej siedziby? (niósł). A gdy duża była zwierzyna? (ciągnął). Czem okrywał się człowiek pierwotny? (skórą). Gdy ciągnął zwierza, skóra mogła się zniszczyć, a jak więc sobie radził, na jaki wpadł pomysł? (kładał zwierzynę na gałęzie i ciągnął do swego miejsca pobytu). Na jaki pomysł wpadł później człowiek? (wydrążył w pniu drzewnym wgłębienie i kładł zwierzynę, w ten sposób ciągnął do domu). Czy to łatwo było ciągnąć w takim pniu zwierzynę? (nie, ciężko było). Kto później przyszedł człowiekowi z pomocą? (koń, wierny jego towarzysz). Czy to łatwo było koniowi ciągnąć taki pień przez krzaki, niedostępne drogi, pełne zagłębień i t. p.?

Gdy natrafił na przeszkodę, co musiał robić ze zwierzyną? (musiał wylądować, a po przejeździe wkładał z powrotem). Przez co jednak łatwo przesuwaliśmy się sanie? (przez okrągłe kawałki drzewa). Na jaki pomysł wpadł woźnica? (ażeby zabierać kawałek drzewa i kłaść przed sobą w ten sposób posuwać się dalej). Na jaką myśl wpadł człowiek później? (żeby okrągłe kawałki na stałe umocować pod saniami). Czy to wygodne? (nie). Dlaczego? Do czego doprowadziły go dalsze wysiłki? (do tego, że oderznął boczne kręgi i umocował tak, aby się obracały).

Czy łatwo było przewozić ciężary? (łatwo, sanie były na kołach). Więc co to mogło być? (wóz). A czy taki był, jaki mamy obecnie? (nie, budowa prostsza). Czy odrazu zrobił człowiek wóz taki, jaki mamy obecnie? (nie). Czy tylko jeden człowiek myślał nad ulepszeniem? (nie, dużo ludzi, każdy wymyślił coś nowego).

Przy odpytaniu będę się posługiwał okazami. Okazy mam następujące: gałąź, jak to na niej ciągnął ciężary, pień wydrążony (model), sposób sprowadzania zwierzyny do domu u człowieka pierwotnego, pokłady dla ułatwienia ciągnięcia owych sań i przekształcone sanie na wóz. Na tablicy piszę: Ćwiczenie szkolne 26.X-1926 r. Plan wstępu: „Narodziny wozu”. Dzieci mają zadane do domu dokończyć zaczęte ćwiczenie w klasie.

Wł. Kołodziejczyk.

Do czego człowiek może dojść.

Najważniejszym czynnikiem naszych władz umysłowych jest silna wola, ponieważ ona reguluje całe życie człowieka, wydając świadomy wyrok w walce motywów.

W życiu codziennym rozmaite pobudki przeciwne sobie w grę wchodzi i wówczas to powstaje walka duchowa, miotanie i szamotanie się duszy ludzkiej, walka między rozumem, a instynktami zwierzęcymi. W walce tej zwykle słabe charaktery ulegają złym skłonnościom. Ażeby oprzeć się temu, należy umieć ocenić wartość przyszłego czynu, aby zaś to uczynić, musimy zgóry przewidzieć jego skutki. To przewidzenie następstw nie jest rzeczą łatwą,

a więc należy przy każdej walce duchowej nad daną sprawą długo zastanawiać się i rozmyślać, wkońcu zaś wydać wyrok, który napewno nie będzie szkodliwy, a przeciwnie przyniesie zadowolenie jednostce i korzyść szerszemu ogółowi. Taki człowiek, który umie zastanawiać się nad tem, co robi, nie będzie się skarżył na okrutny los tego świata, nie opęta go pesymizm, ani też pożałdliwości znikome, zawsze potrafi się oprzeć zwierzęcym skłonnościom i zmierzać będzie do celów wzniosłych.

Mówimy, że wola jest bardzo ważnym czynnikiem, a więc zadajmy sobie pytanie — co to jest wola? Nie jest rzeczą łatwą na to pytanie odpo-

wiedzieć, ale postaramy się określić ją najprościej. — Wola jest to siła duchowa o zabarwieniu uczuciowym, ujawniająca się w naszych czynach, a najważniejszym jej pierwiastkiem jest „chcenie”. — Z tego możemy wywnioskować, że spotęgowanie woli zależne jest od nas samych, ponieważ w każdych okolicznościach możemy powiedzieć, że tak chcemy, a nie inaczej postąpić. — Oczywiście jest to w teorii bardzo piękne, lecz w rzeczywistości rzecz się ma inaczej. Jeżeli chcemy dokładnie zrozumieć znaczenie woli, musimy przedtem zwrócić uwagę na jej nierozłączonego przyjaciela lub przeciwnika t. j. na nasze uczucia. Mamy wiele rodzajów uczuć, trzeba więc je podzielić i zastanowić się, jak one wpływają na wolę. Przy podziale nie będę się bawił w szczegóły, ponieważ one nie wchodzą w zakres mej pracy, lecz wyodrębnienie zasadniczych grup posłuży mi tylko do rozwiązania problemu.

Uczucia ogólnie możemy podzielić na trzy grupy: a) uczucia niższe, b) uczucia wyższe (społeczne) c) uczucia umysłowe. W uczuciach niższych czyli egoistycznych na pierwszy plan występuje pierwiastek osobisty, a są to uczucia takie, jak strach, gniewu, radości itp.

Uczucia wyższe czyli altruistyczne powstają z uczuć niższych, z tak zwanych afektów, przez współczucie. Np.: Wybuchła wojna, opanowują nas strach, że nieprzyjaciół zagrabi nasze mienie. W tym czasie nasuwają się nam również myśli, że innych to samo spotka, wówczas budzi się w nas współczucie dla innych, zaciągamy się do szeregów, aby walczyć o dobro ojczyzny. Widzimy więc, że w tym wypadku uczucie niższe strachu zamieniło się na uczucie wyższe patriotyczne. W skład uczuć umysłowych wchodzi uczucia intelektualne, estetyczne, moralne i religijne. Tak więc przedstawiłby się ogólny podział uczuć. Teraz przystąpimy do rozpatrywania wpływu uczuć na wolę.

Zacniemy od uczuć niższych, ponieważ te najczęściej się u nas objawiają i w wielkim stopniu przyczyniają się do osłabienia naszej siły duchowej.

W tym wypadku za przykład może nam posłużyć lenistwo, spowodowane przez uczucie niższe, organiczne. Np. uczeń, cierpiący na reumatyzm, spędził z powodu silnego bólu noc bezsennie, jednak ból ustępuje nadejściem, uczeń zasypia, przebudzając go, lub sam się przebudza w czasie, w którym ma iść do szkoły. Uczeń ten odczuwa ogromne przemęczenie, choć bólu nie czuje, jednak waha się, czy iść do szkoły, czy nie; w końcu uczucie organiczne, instynktu wygody, zwycięża, decyduje zapada i uczeń pozostaje w domu. Widzimy, że w wahanii się ucznia był wysiłek woli, lecz uczucie walczące zwyciężyło.

W powyższym przykładzie widzimy walkę dwóch motywów: poczucia obowiązku i lenistwa, które u człowieka jest objawem pierwiastka zwierzęcości.

Każdy człowiek przychodzi na świat z pewnymi zdolnościami szlachetnymi i pewnymi skłonnościami, które są ściśle związane z objawami fizjologicznymi. Pierwsze umiejętnie rozwinięte czynią człowieka człowiekiem, drugie zaś, jeżeli nie są hamowane do pewnego stopnia w rozwoju, zagłuszają wrodzone pierwiastki szlachetne, czyniąc danego osobnika jednostką niezdolną do życia wyższego, ponieważ popęd zwierzęcości u takiej jednostki zawsze weźmie górę nad siłą duchową. Za drugi przykład może nam posłużyć uczucie smutku. Np. umiera nam osoba droga, my się smucimy. Przyczyna tego smutku wypływa z wielu uczuć egoistycznych, ponieważ ze śmiercią tej osoby może nam się skończyć jej pomoc materialna, opieka lub też inne czynniki, podtrzymują-

ce nasze życie; te uczucia egoistyczne tak działają na naszą wolę, że mimo wysiłku uwolnienia się od smutku, musimy ulec. Tak więc jest z każdym uczuciem niższym, ponieważ te są bardzo ściśle związane z objawami fizjologicznymi naszego organizmu i dlatego zawsze zmiierają tylko do zabezpieczenia potrzeb materialnych, to jest tych samych, o jakie się troszczył człowiek pierwotny. Uczucia wyższe, altruistyczne zawsze dodatnio działają na naszą wolę; żaden patryota nie działa antyspołecznie, lecz jego wysiłek woli zawsze jest skierowany w kierunku polepszenia zbiorowego bytu. Uczucia umysłowe może najwięcej przyczyniają się do spotęgowania woli, ponieważ one kierują najważniejszymi czynnikami w życiu ludzkości. Im silniej są rozbudzone uczucia umysłowe, tem więcej działają one na rozwój naszych władz umysłowych, a tem samem na doskonałość człowieka.

Kolejno będę rozpatrywał uczucia wyższe i stosunek woli do tychże uczuć. Zacniemy od uczuć intelektualnych. Uczucia intelektualnego doznajemy wtedy, kiedy przez swoją pracę umysłową dojdziemy do jakiejś prawdy. Np. Archimedes doszedł do prawdy, że ciało, zanurzone w wodzie, traci pozornie tyle na wadze, ile waży woda, przez to ciało wypchnięta. Wiemy, że Archimedes, zanim doszedł do tej prawdy, musiał przez długi czas obserwować i badać, a więc cały jego wysiłek woli skierowany był tylko w tym kierunku. Uczucia estetycznego doznajemy wtedy, kiedy potrafimy odróżnić piękno od brzydoty. Człowiek, wrażliwy na piękno, czuje wstręt do brzydoty, a cały jego wysiłek woli skierowany jest do celów wzniosłych i uszlachetniających jego duszę; przez tę pracę popęd do piękna do najwyższego stopnia będzie rozszerzał swoje granice.

Uczucia moralnego doznajemy wtedy, kiedy czyny nasze będą zgodne z sumieniem. Oczywiście nie mam ja na myśli zbrodniarzy lub bandytów, którzy dokonywują zbrodni również za zgodą własnego sumienia, lecz chodzi mi o ogólne prawo moralności, stworzone przez miliony pokoleń, a wpojone w nas, które nazywamy głosem sumienia. Głos sumienia jest bardzo czuły wtedy, kiedy uczucia moralne rozwinęły się w wysokim stopniu. W uczuciach tych wyróżniamy dwa typy: a) emocjonalny (uczuciowy), b) intelektualny (rozumowy), lecz zarówno oba typy dodatnio działają na naszą wolę. Wszak zmarznętego żebraka, zbliżającego się do naszych wrót, nigdy nie wyszczujemy psami, ale bądźto uczucie, czy też nasz rozum tak podziałają na naszą wolę, że w miarę możliwości będziemy się starali ubogiemu dopomóc.

Z tych wszystkich może uczucia religijne najpotężniej działają na psychikę ludzką, jakkolwiek rozum nasz nie dosięgnął tajemnicy Bożej. Widzimy u wszystkich narodów kult religijny, a każdy naród z wielkim pietyzmem odnosi się do swego bóstwa. Izraelici tak otaczali czcią Boga, że nikt z nich nie miał odwagi wymówić imienia Jego. Narody barbarzyńskie również z wielką uroczystością obchodziły obrzędy religijne i wielką czcią otaczali swoich bożków. Jeżeliby ktoś ośmielił się wyśmiać ich obrzędy, temu na miejscu zadaliby śmierć męczeńską. I wogóle każdy człowiek głęboko religijny jest mocno obrażony, gdy ktoś ośmieli się wyśmiewać jego praktyki religijne, lub też wiarę odziedziczoną po przodkach swoich. A więc widzimy, że w uczuciach religijnych na spotęgowanie woli ogromny wpływ wywiera pierwiastek wiary. Z tego możemy już wywnioskować, że tylko uczucia społeczne i umysłowe dodatnio działają na naszą wolę. Uczucia te harmonizują się i uzupełniają się wzajemnie—i tylko ten

człowiek jest szczęśliwy i jego wartość duchowa jest wielką, który silniej rozwinął w sobie te uczucia; taki człowiek zmierza do doskonałości, oczywiście kosztłem wysiłku ciężkiej, lecz systematycznej pracy. Jednak wielu z nas wyobraża sobie dojście do możliwej doskonałości człowieka nieco w inny sposób, a mianowicie: twierdzą oni, że jakiś filozof, bądź matematyk, czy też fizyk stworzył wzniosłą ideę lub też poczynił wielkie wynalazki, bo miał ku temu zdolności.

Nie zaprzeczam zdolnościom, że są one konieczne, ale także trzeba pamiętać o tem, że człowiekiem, gdy tworzy rzeczy wzniosłe, kierują zawsze pobudki szlachetne, które wyłoniły się z rozwiniętych uczuć szlachetnych. I gdy będziemy rozmawiać z filozofem lub innym genjuszem, to wszystkie pierwiastki dobra ujawniać się będą w jego mowie. Same zdolności bez szlachetnego bodźca nie doprowadzą do celu, ponieważ człowiek taki nigdy nie zdobędzie się na większy wysiłek, aby czynu dokonać.

Nawet często się zdarza, że ludzie, obdarzeni zdolnościami, z czasem zatracają je właśnie dlatego, że nie zdolni są zdobyć się na większy wysiłek woli i przez to samo nie zdolni są pracować w kierunku swoich zdolności.

Jakie więc my w tym wypadku zajmujemy stanowisko jako przyszli nauczyciele i wychowawcy? Czy mamy czekać na ludzi wielkich, którzy zjawiają się ze stuleciami przez indywidualną pracę, czy też mamy podać rękę młodym pokoleniom, które przy naszej pomocy również mogą cudów dokonać i w ten sposób przyczynić się do powiększenia grona ludzi wielkich.

Nad tem zagadnieniem nie powinniśmy się zbyt długo zastanawiać. Naszem zadaniem w pracy wychowawczej będzie:

a) Wychowanie młodzieży w całem tego słowa znaczeniu; b) kształcenie intelektu; c) uwzględnienie zamiłowania w kierunku zdolności dziecka. Na ostatnie powinniśmy zwrócić baczną uwagę i w miarę możliwości powinniśmy dopomagać dziecku w wypadkach wątplenia, ponieważ umysł jego jest jeszcze za mało rozwinięty, a wolę ma za słabą, by wszystkie trudności pokonać. Dziecko, nawet przy dużych zdolnościach, w czasie niepowodzenia nie ufa w swe siły i przez częstsze powtarzanie się niepowodzeń traci zamiłowanie w tym kierunku, a tem samem i zdolności. Co zaś do wychowania i nauczania to te dwa cele uzupełniają się — Człowiek bez wiedzy nie może być doskonałym i odwrotnie, bez wychowania również. — Jakkolwiek wiedza jest bardzo ważnym czynnikiem, to jednak w szkole powszechnej powinniśmy kłaść większy nacisk na wychowanie, ponieważ już samo wychowanie wywiera ogromny wpływ na umysł dziecka, a tem samem dodaje bodźca do uczenia się z chęcią przedmiotów.

Przerabiając z dziećmi czy to czytanek z języka polskiego, czy też zadanie arytmetyczne, lub coś innego, powinniśmy dbać o to, by te przedmioty zawierały pierwiastki kształcające szlachetne popędy dziecka.

To mało, że materiał będzie zawierał pierwiastki kształcające, my powinniśmy przez umiejętne postępowanie tak nią zainteresować dzieci, żeby one to piękno same wyszukały, żeby znalazły sens moralny, żeby odkryły prawdę; w ten sposób dzieci będą kształcić w sobie uczucia wyższe, uczucia szlachetne. W ten sposób w nich będzie się pomnażać zainteresowanie do wiedzy, do tajemnic życia.

Wtedy nawet bardzo trudne pytania będą stawać nauczycielowi dzieci, by zaspokoić swoją żądzę

poznania. Gdybyśmy jednak zwracali uwagę i kształcili tylko uczucia wyższe, a nie tępił uczuć niższych, które u małych dzieci w wielkiej mierze i bez nauczyciela się rozwijają, wówczas nie osiągnęlibyśmy rezultatu. Uczucia niższe są wrogami naszej woli i naszego życia. Powrócę jeszcze do przykładu, który podałem poprzednio — do lenistwa, wywołanego przez uczucie organiczne. Uczeń ten chciał wygody, ponieważ był przemęczony bólem reumatycznym.

Gdyby jednak ten uczeń miał wyrobione poczucie obowiązku, to mimo przemęczenia napewno poszedłby do szkoły, wszak nie mógłby się pogodzić z głosem sumienia, opuszczając obowiązek na niego nałożony. W jaki więc sposób możemy wyrobić poczucie obowiązku? Bardzo łatwo, a w szkole powszechnej może najłatwiej, ponieważ są to dzieci małe, które można nagiąć, jeśli się tak można wyrazić, jak tylko zechcemy.

Przedewszystkiem powinniśmy przestrzegać spóźnień dzieci i opuszczania lekcyj bez powodów; następnie zwracać baczną uwagę na sumienne odrabianie lekcyj i zawsze powinniśmy być konsekwentni. Tylko tego przestrzegać, a już osiągniemy rezultat. Oczywiście nie mówię o wyjątkach, z którymi można tylko cośkolwiek zrobić przez specjalne zwrócenie uwagi na nie, w których jednak zupełnego celu nigdy nie osiągniemy.

Tylko przez taką pracę możemy wyrobić poczucie obowiązku t. j. uczucie moralne, które zawsze będzie się przeciwstawiać wszelkiemu lenistwu, spowodowanemu przez różne uczucia niższe.

Naogół prawie wszystkie uczucia egoistyczne ujemnie działają na naszą wolę, a tem samem na nasze życie, a więc wszystkie należałoby w odpowiedni sposób w zarodku tępić u dzieci.

Wtedy miejsce uczuć egoistycznych zastąpiłyby uczucia szlachetne, które w tym wypadku stałyby się dobrym nalogiem. Jednak niektóre afekty zasługują na specjalną uwagę i z temi powinniśmy postępować ostrożnie. Np. gniew — tu powinniśmy zwracać uwagę na rozsądek dzieci, ponieważ gniew ma często rację bytu, a mianowicie wtedy, jeżeli ktoś poniża naszą godność osobistą, wówczas mamy prawo oburzyć się przeciw szkalującej nas osobie. Tak samo nie powinniśmy strachu wykorzeniać doszczętnie, bo dziecko, pozbawione strachu, przez nierozsądną odwagę może się nabawić kalectwa, a nawet może ponieść śmierć. We wszystkich podobnych uczuciach powinniśmy zwracać ogromną uwagę na rozsądek dzieci. Tak więc mniej więcej przedstawiałby się ogólnie zakres naszej pracy.

Dobre wychowanie da nam dobrych obywateli. Nie mam na myśli tego, że, wychowując w ten sposób, zrobimy wszystkich naszych wychowanków genjuszami, jednak wierzę w to mocno, że wiele z tych napozór nieznaczących istot może wznieść się na wyżynę szczęścia duchowego.

Józef Paśnik.

Z BŁAHOSTEK.

PORZUC ŚMUTEK, BĄDŹ WESOŁY,
UCZ SIĘ PILNIE, CHODŹ DO SZKOŁY,
ŻYJ I PRACUJ TAK JAK INNI,
BO OD BIERNYCH LEPSI CZYNNI.
A GDY BOLEŚĆ I ZWĄTPLIENIE
MŁODĄ DUSZĘ TWĄ OTOCZA,
POWIEDZ SOBIE, ŻE GDY ŻYĆ TRZA
TO JUŻ RAŹNIE I OCHOCZO!...

Stef. Jul. Rauchenberg.

PAMIĘCI STANISŁAWA STASZICA.

(1755 — 1826).

Z OKAZJI SETNEJ ROCZNICY ZGONU.

Jednym z najtęższych mężów naszej Ojczyzny z doby jej upadku i chwilowego podźwignięcia się w okresie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego jest Stanisław Staszic, prawdziwy mąż nieugiętej woli, o którym można powiedzieć, że zwyciężył sam siebie i oddał zwyciężonego na usługi swemu krajowi.

Staszic jest przede wszystkim wychowawcą swego narodu i to nie wychowawcą chwilowym, działającym tylko na współczesnych, lecz wychowawcą stałym, nieśmiertelnym, a wychowuje on swój naród nie tylko przez pisma swe, ile przez własne życie, które jest ciąglym, nieprzerwanym przykładem wzorowym dla każdego Polaka.

Można bez przesady powiedzieć, że jeszcze przez długi czas Polska nie zdobędzie się na tak wzorowego obywatela ojczyzny, jakim był ten skromny do końca życia mieszczanin pilski, ks. Stanisław Staszic. I to jest jego największą i nieśmiertelną zasługą.

Kto chce oddać maximum dla dobra ogółu, jak mówi Staszic, dla dobra „towarzystwa społecznego“, niech czyta żywot i pisma jego i naśladuje go. Zresztą dzieła Staszica są odbiciem jego działalności, nie potrzebuję dodawać: działalności społecznej, gdyż Staszic tylko dla społeczeństwa żył i działał. A czego dokonał to barwnie i dobitnie ilustruje nam mowa pogrzebowa ks. Szweykowskiego, wypowiedziana nad zwłokami Staszica, a oto z niej wyjątek: „Towarzystwo Przyjaciół Nauk uposażone, szkoły wojewódzkie, wydziałowe i elementarne w części nowopowstałe, w części urządzone, Uniwersytet Królewski z słabych początków do stanu kwitnącego doprowadzony, Szkoła politechniczna zawiązana, górnictwo wraz z szkołą górniczą, Instytut głuchoniemych i agronomji, Konserwatorium muzyczne ze swojemi oddziałami, sztuki piękne tyle wpływu na społeczność mające, fabryki i rękodzielnie różnego rodzaju tak szczęśliwie powstające, budownictwo dróg i mostów, szkoła Inżynierów, słowem wszystkie zakłady nauk, umiejętności przemysłu, jakimi się szczyci nasz naród od czasu odrodzenia swojego, jego bliższemu przewodnictwu winne są albo swój początek albo wzrost i zakwitnienie. Gdyby wszystkie jego dzieła i prace były w jedno zebrane, potomność nie chciałaby wierzyć, żeby jeden człowiek mógł tym trudom podolać. Jednak uwierzyć musimy, bo w oczy bije nas fakt i cyfra“.

Staszic pierwszy z Polaków zapoczątkował poważne studia nad powierzchnią naszej ziemi. Jego dzieła: „O ziemiorodztwie Karpatów“ i „O statystyce Polskiej“, przyczyniły się w znacznej mierze do wzrostu naszego przemysłu, zwłaszcza górniczego. Na jego też cześć, część Zagłębia Dąbrowskiego, Będzin Sosnowiec i pobliskie tereny węglowe oznaczono mianem: „pola węglowego Staszica“. Wielką też zasługą Staszica jest ułożenie przez niego pierwszej mapki geologicznej Polski.

Staszic brał też czynny udział na wszystkich niemal placówkach społecznych. Był prezesem i duszą warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; był wieloletnim współpracownikiem i współczłonkiem zarządu Królewskiego Towarzystwa Gospodarczo-Rolniczego etc. etc.

Nic też dziwnego, że spłynęły na niego pod koniec życia zaszczyty i dostojeństwa; umarł jako wybitny, zasłużony mąż stanu. Dodajmy jeszcze, że Staszic zaczął pracować w bardzo dla siebie niekorzystnych warunkach, bo jako mieszczanin spotykał się wszędzie z obojętnością i wzdargą, udzielaną wówczas każdemu, pochodzącemu z jego stanu. Staszic jednak był na tyle silny, że umiał wszystkie przeszkody zwalczyć i sam, nie mając genjuszu, własnym hartem i mocą duszy wybił się na czoło narodu.

Działalność Staszica nie ograniczyła się tylko na działalność ekonomiczno-społeczną, lecz działał on także przez swe pisma, jako czynny nauczyciel narodu i jako czynny pedagog młodzieży.

Jako nauczyciel narodu w „Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego“ i w „Przestrobach dla Polaki“ daje nam światłe rady i wskazówki, jakimi drogami mamy pójść w odradzaniu się. Przestrzegał nas tam przed zgubnymi skutkami sojuszu z Prusami lub Rosją, widząc tylko we Francji trwałe i pewne oparcie, zgadując jakby politykę obecnej doby. Był też Staszic zdecydowanym fizjokratą, ale przede wszystkim bolała go czarna niesprawiedliwość warstw uprzywilejowanych i krzywda warstw niższych. Demokratyzm ten uczuciowy łączył jednak Staszic z rozumem, gdyż sam był człowiekiem światłym i nawszkroś rozważnym, a jako człowiek, nie znoszący rozdźwięku między uczuciem, rozumem i wolą, niezwłocznie swe teorie i swe serce chciał zrealizować czynnie; i oto ten ubogi mieszczanin, walczący do 36 roku życia o prawa dla swej warstwy społecznej, myślał jednocześnie nad poprawą doli ludu wiejskiego i zanim mógł przeprowadzić swe teorie demokratyczne (w swych pismach umieszczone) jako ustawy państwowe, sam na własną rękę z pieniędzy zaoszczędzonych w czasie skromnego żywota, zakupił od księżnej Sapieżyny Zamoyskiej włości hrubieszowskie (9 wsi z miastem Hrubieszowem) i tam uwłaszczył chłopów i zorganizował całą ludność w Towarzystwo Rolniczo-Gospodarcze z Radą na ciele. Ta organizacja bardzo przypomina dzisiejsze towarzystwa współdzielcze i bardzo zbliżoną jest do dzisiejszego ideału wsi wzorowej. Ten zwłaszcza czyn Staszica świadczy o jego wytrwałości w pracy i mówi nam, jak trzeba dochodzić do celu. Jest to czyn rzeczywiście rozrzucający, poucza nas zarazem oszczędności, cnoty tak rzadkiej u Polaków.

Staszic też w dziełach swoich niejednokrotnie daje wyraźne wskazówki, jak należy wychowywać dzieci. Wszystkie te wskazówki i myśli pedagogiczne zostały niedawno opracowane i w całość zebrane przez prof. uniw. Zygmunta Kukulskiego, a następnie wydane w osobnym tomie p. t. „Dzieła pedagogiczne Staszica“, którą to książkę winien nie tylko każdy wychowawca, ale każdy Polak przeczytać i przemyśleć. Odrzucając z metod pedagogicznych Staszica myśli, poświęcone przeżytemu utylitaryzmowi pedagogicznemu, znajdziemy jeszcze wiele zdrowych i cennych wskazówek, odnoszących się zwłaszcza do zwalczania lenistwa w szkolnictwie polskim. Przewodnią ideą w pedagogice Staszica jest uszczęśliwić społeczność przez wychowanie każdego jej członka na dobrego obywatela swego społeczeństwa. O szcze-

ślcu osobistem Staszic nie mówi, ale rozumie je i niejako identyfikuje to szczęście ze szczęściem ogółu. Przez to pedagogika Staszica jest zbliżona do owej platońskiej pedagogiki socjalnej.

Syntetyzując prace Staszica, powiemy, że był on i jest nauczycielem narodu polskiego, nauczycielem wiecznie świecącym przykładem swego świetnego żywota. gdzie prywatnie nigdy nie zagościła. Staszic harmonizował w sobie czyn, rozum i potężne uczucie, był romantykiem w zakresie działania, a pozytywi-

sta w samym działaniu, przez co my Polacy podwójnie winniśmy go naśladować, wiedząc, że brak nam często zapалу do tej pozytywnej, a wytrwałej pracy.

Należy jeszcze podkreślić, że chociaż Staszic w dziele swoim p. t. „Ród ludzki” uznaje rewolucję jako konieczny środek rozwoju społeczeństw, to jednak życiem swoim daje przykład działania ewolucyjnego i stawia ewolucję jako fundament rozwoju.

Gral.

Ku czci Żeromskiego i Reymonta.

W roku bieżącym spadły na Polskę dwa ciężkie ciosy. W roku tym zmarł wielki pisarz, Stefan Żeromski. I ledwie świeżą mogiłę zdążył przyprószyć śnieg, gdy rozeszła się druga żałobna wieść. — Zmarł drugi wielki pisarz doby dzisiejszej, Władysław Stanisław Reymont. Smutek padł na oświeconą część społeczeństwa polskiego. Zrozumiał Naród, że oddał ziemi dwa serca, które były gorącą miłością ojczyzny, bolały nad Jej nędzą, pragnęły Jej szczęścia. Twórczość Żeromskiego i Reymonta różni się od siebie swym charakterem. Żeromski w twórczość swą wkłada bardzo dużo uczucia.

W twórczości swej wykazuje grzechy Narodu, chciałby, by Polska była silna, taka jaką sobie wyobrażał.

To też śmiało, bez ogródek wskazuje Jej błędy. Rozwija przed oczami najstraszniejsze obrazy nędzy, krzywdy ludzkiej i poniżenia. Nie cofa się przed niczem, by tylko zatargać duszą polską — by ją obudzić z letargu. Żeromski czuje głęboko nędzę ludzką. Uczucie miłości ojczyzny i to poczucie krzywdy społecznej, która dzieli ludzi na kategorie, wieje z każdej kartki Jego dzieł. Bohaterowie Jego to zwykli ludzie, przeważnie pochodzący z ludu, szermierze ideału. A walka ich trudna, bo toczy się z szatanem, tym odwiecznym wrogiem ludzkości. W duszy człowieka tkwi dobro i zło.

Żeromski przedstawia nam walkę zła z dobrem, oddaje najmniejsze drgnienia duszy, wnika w najskrytsze tajniki życia psychicznego. A wszystko to przepaja liryzmem, tworząc przepiękną całość. Lecz, aby zrozumieć twórczość Żeromskiego, trzeba koniecznie być nastrojonym na jej nutę, trzeba współczuć nędzy ludzkiej, śnić o sławie i wielkości

Polski. I wtedy tylko znajduje się w twórczości Żeromskiego treść jej, a zarazem cel. Żeromskiemu obce jest hasło: „Sztuka dla sztuki”. U niego sama sztuka nie jest celem. Przez sztukę pragnie wznieść czytelnika na wyższy poziom moralny, obudzić w nim sumienie. Twórczości bez wyraźnej idei nie uznaje. Nie traci ona jednak przez to nic na pięknie. Twórczość Żeromskiego, pomimo, że pisze prozą, jest poezją, gdyż działa na uczucie, wyobraźnię i poczucie estetyczne. W twórczości Żeromskiego jest coś nieuchwytnego, coś, w co się wsłuchujemy jak w muzykę.

Odmienny charakter ma twórczość Reymonta. Reymont jest epikiem. Podpatruje zjawiska życia i po mistrzowsku oddaje je w swych pracach. Reymontowi, w przeciwieństwie do Żeromskiego, hasło „Sztuka dla sztuki” jest nieobce. Toteż twórczość Reymonta, to oddanie rzeczywistości, przekształconej w piękne formy — w poezję, która przemawia do nas swoim pięknem jak rzeźba kształtem. Pomimo tych różnic twórczość Żeromskiego jak i Reymonta, stoi na jednakim poziomie, choć każda inna. Śmierć tych dwóch wielkich pisarzy jest wielką stratą dla całego życia duchowego Polski. Bolesnie odczuła Polska tę stratę. Lecz najwięcej powinna ją odczuć młodzież. Bo przecież to dla niej, nie dla starego społeczeństwa już skostniałego, Żeromski marzył i śnił o Polsce, o Jej sławie. I może przyjdzie ten czas, że idee twórcy „Popiołów”, „Dumy o Hetmanie” i piękno „Chłopów” Reymonta weźrą się głęboko w duszę młodego pokolenia polskiego, otrząśnie się Naród z dotychczasowych błędów i powstanie Polska przyszłości „i ludy przelekną”.

H. Gołkowski.

Zagadnienie śmierci u Żeromskiego i Reymonta.

Żeromski i Reymont to dwa przeciwne bieguny. Różnią się nie tylko co do charakteru swej twórczości, lecz różnią się także w poglądach na niektóre zjawiska, występujące w życiu człowieka. Jednym z najważniejszych takich zjawisk jest śmierć. Czemże jest śmierć? nasuwa się pytanie. Śmierć jest etapem dla duszy w drodze ciągłego doskonalenia się jej. Przez śmierć dusza zrzuca swe cielesne więzy i dąży do Boga, do Prawdy. Dusza staje się wobec rozwiązania zagadki bytu. Nieznane przestaje dla niej istnieć. Zagadnienie śmierci jest jednym z licznych zagadnień, jakie ci dwaj pisarze poruszali w swych dziełach. Żeromski jest psychologiem, znawcą duszy ludzkiej. Żyje razem ze swymi bohaterami, cierpi i umiera wprost razem z nimi. Wczuwa się głęboko w stan duchowy podczas ich śmierci, którą przeży-

wa razem z nimi. Śmierć u Żeromskiego jest zgrzytem, jest fałszywym tonem w życiu ludzkim.

Ryszard Nienaski z „Zamieci”, w chwili, gdy jest szczęśliwy, gdy życie uśmiecha się do niego, umiera z rąk Mścicieli. W tej chwili, gdy chciałby otrzeć łzy wszystkich cierpiących, gdy świat cały chciałby przycisnąć do swojej piersi, musi umierać. Śmierć przychodzi jako nieubłagane fatum, śmiejące się szyderczo z życia i niszczące je. Śmierć jest tragedią. Niszczy życie człowieka wraz z jego najszlachetniejszymi porywami.

Bywa czasem ucieczką dla dusz chorych. Życie zabija w takich ludziach wiarę w ideały, a w duszę ich sacza truciznę zwątpienia. Życie jest podłe i depcze to wszystko, co jest piękne, szlachetne. Śmierć jest ucieczką przed podłością życia i ludzkie, zwątpiwszy

we wszystko, rzucają się w jej objęcia. Jednak i dla nich śmierć jest tragedią, bo łamią się w walce duchowej, zanim nie zerwą ostatniego ogniwa, łączącego ich z życiem. Takim człowiekiem jest inżynier Korzecki z „Ludzi bezdomnych” i taką jest jego śmierć. Jednak widać z tego, że Żeromski jest pesymistą. Dlatego też w jego dziełach panuje dysharmonia. Pesymizm Żeromskiego nie razi nas, bo podłożem jego jest nie sztywność lub nienawiść, lecz gorąca miłość bliźniego.

Reymont jest optymistą. W jego dziełach panuje niczem nie zamacona harmonia. Harmonii tej nie przerywa nawet śmierć.

W utworach Reymonta w śmierci istnieje wielka

pogoda, bo przecież śmierć jest tylko przemianą duszy w formę piękniejszą, doskonalszą.

Śmierć nie jest tragedią, lecz jest ostatnim, najpiękniejszym momentem życia. Stary Boryna z „Chłopów” wstaje z łóża i chociaż jest nieprzytomny z gorączki, idzie na pole, bo go wzywa matka-ziemia. Idzie przez zagon i rzuca w ziemię złote ziarno, bo ziemia nie może stać ugięta, lecz budzi się teraz z wiosną do życia. Miłość ziemi-rodzicielki i poczucie obowiązku zwyciężyło chorobę, lecz tylko chwilowo. Śmierć zabiera Borynę od tej świętej pracy, a ziemia przyjmuje do swego łona syna, który ją ukochał nadewszystko.

Aleksander Okoń.

Z wycieczki tatrzańskiej w ciągu wakacji 1922 r.

(Jeden dzień z pamiętnika).

Dnia 26 lipca lał deszcz do południa. Kiedy trochę ustał, zdecydowano drogę do Morskiego Oka. Nie był to akt swobodnej, pod dojrzałym namysłem działającej woli, lecz akt rozpacz, buntu wyrwania się z brudnych ścian schroniska na swobodę, na trud i życie, jeżeli nie na słońce i piękno. Wszyscy czuli, że ryzykujemy, że wyzywamy groźne potęgi, czające się w tatrzańskiej niepogodzie, ale wola ruchu była silniejsza niż instynkt wygody. Zabierało się wszystkie rzeczy. Każdy otrzymał po 2-u kilogramowym bochenku chleba. Plecaki były ciężkie, cięższe niż kiedykolwiek. Dla kotła wyznaczono półgodzinną kolejkę. Już droga do Kuźnic zmęczyła, to też pierwszy krótki wypoczynek wypadł na rozdrożu Bocznia i Jaworzynki. Wybrano Bocznia ze względu na większą równomierność spadku i przypuszczalnie słabsze nawodnienie. Celem oszczędzania sił orszak posuwał się gęsiego, noga za nogą, stromą, błotnistą i kamienistą drogą lasem. Mgły wisiały rozpaczliwie nisko, nad Wysokimi Tatrami kotłowało całe piekło chmur. Rozmowy, z początku dość ożywione, milkły. Szedł trud i znój. Nikt nie wyrwał się naprzód, nikt nie protestował przeciw zółwiemu krokowi przewodnika. Potem zalane oczy nie patrzyły wstecz na smutne, zamglone Zakopane. Już pół godziny po wymarszu odezwały się głosy, domagające się odpoczynku, ale kierownik chciał uniknąć demoralizującego, zbyt częstego odpoczywania, chciał osiągnąć do górnej granicy lasu. Kiedy czoło tam dotarło, mgły opadły na idących, spadł zimny, ostry deszcz. Odpoczynek umożliwił jaką taką ochronę pod ostatnimi świerkami. Powoli dociągali ostatni zmęczeni i wyczerpani. Deszcz nie ustawał, trzeba było iść naprzód. Na Skupniowym Uplu mgła jeszcze zgęstniała, idący w tyle o kilkanaście kroków majaczyli już jak niewyraźne sylwetki. Mgła pokryła nie tylko Beskid i Pieniny, ale nawet Kopieńce, ale stoczyła się w obie doliny Olczyską i Jaworzynkę, wyścielając ich dno. Szliśmy w chmurach, widząc przed sobą tylko kawał żółtej, rozmokłej ścieżki. Zniknęły nawet Kopy Królowe. Orszak posuwał się w pozornej pustce. Droga ciągle ciężka pod górę, tem cięższa, że nie widać przełęczy. Kiedy mijaliśmy ją, nikt nie widział gór, ją tworzących, tylko nogi odczuły zmianę pochyłości terenu. Za przełęczą puścił się deszcz ulewny. Naciągnięto płaszcz i uporczywie posuwano się naprzód. Wreszcie zamajaczyły szalasy. Korowód duchów zatrzymał się. Hała Gąsienicowa.

Brr! Zimno! Wilgotne ławy i stoły nawet pod dachem. Ani śladu widoku. Kilkadziesiąt metrów

kwadratowych pozornie równego terenu. Twarze gorączkowo zaczerwienione, oczy błyszczące. Niechęć do ruchu m. mo zimna. Niechęć do jedzenia mimo, że głód doskwiera. Palą czerwone pasy na ramionach po plecach. Ale to wszystko trwa krótko. Wraca siła i wola życia. Ludzie garną się do kuchni. Równocześnie mgła rzadnie i odsłania narazie ciemnozielony, głazami zaścieniony Kościelec, drogę do Czarnego Stawu i część serpentyny na Krzyżne. Liljowe jeszcze w grubym mroku wraz ze śniegami Świnnicy, Skrajnej i Pośredniej Turni. Ogarniając wzrokiem coraz nowe wyczerpane twarze, oblicza kierownik szanse powodzenia. Późna godzina, ciężkie plecaki, brak treningu, przewaga dziewcząt — to minusy. P.Z. boli noga, zacięła się wprawdzie i idzie, ale ile ją ten wysiłek kosztuje. Instynkt samozachowawczy gromady szepce bez słów: Nocować. Logika wypadków kładzie swe veto. Nie pomieścimy się, taka nas gromada, a przytem przed 9 g. gospodarz nie może dać noclegu. Schronisko drugie zarekwirowało wojsko. Wyrwał się na swobodę, musisz iść! Wydobądź trochę bohaterstwa z siebie! Ale na razie odpoczynek. Gorące herbaty poprawiają sytuację wewnętrzną. Nie taki djabeł straszny. P. Z. i p. P. położyły się na jednym łóżku pod kocem i grzeją się ciepłem własnych ciał. Na drugim łóżku leży Goldzianka. Tu i ówdzie popija się strasznie drogą wódkę. Kol. K., który oddał swój chleb jakiemuś dziadowi, zaco zebrał masę błogosławieństw, upewnia, że te błogosławieństwa gonić nas będą. P. Z., wypiszą trochę wódki, ożywia się. P. N. krząta się, karmi siebie i innych, Basia Barchanówna pilnuje herbat. Wreszcie z improwizowanej sypialni buchają śmiechy. Już dobrze! Idziemy!

Droga do Czarnego Stawu równa, zasiana kółkami, zbrojna w olbrzymie głazy, nie nastęcza szczególnych trudności. Staw, strasznie czarny, okolony skałami, w górnych szczelinach skalnych obramowany śniegiem, robi należyte wrażenie. Na dużym kamieniu fotografia — samoofiara. Dmie ostry, kłujący, wprost raniący wicher wprost w twarz. Palce już grabieją. Nie dziw, że fotograf bawi się długo. Nareszcie skończone. Ruszamy. Staw marszczy swą toń, szemrze groźbę: „O szalony, gdzie on goni”. Wznosimy się nad jego powierzchnię, wreszcie, przeszedłszy wezbrany strumyk po niepewnych głazach, wchodzimy na serpentynę ku Zmarzłemu. Oślizłe kamienie buntują się, wymagają napięcia uwagi. Ale w czasie normalnym osiągnęliśmy Zmarzły. Przeszedłszy obszerne, pochyłe, ale

brudne pole śniegowe, patrzymy twarzą w twarz Zawratowi Strasznyś przyjacielu! Żleb Starego Zawratu do połowy wysokości zawalony śniegiem, Zawratowa Turnia, Granaty, Kozie Wierchy wszystko białe.

W kotlinie panuje złowroga cisza. Czają się jakieś przemożne siły, by potęgą swego uroku wciągnąć nieopatrnych, nigdy niesytych śmiertelników. Prócz naszej gromadki tak dużej, a przecież tak śmiesznie małej w stosunku do tych olbrzymów, nikogo—nikogo. Jesteśmy nareszcie sami, zdani na siebie w obliczu tych obojętnych potęg. Od Zmarzłego Stawu zorganizowany przez p. N. marsz bojowy, szyk ubezpieczony. Na przodzie kierownik, tuż za nim p. N., którą perspektywa ciężkiej przypuszczalnie przeprawy najwidoczniej podnieca, dalej p. Z., która pomimo bolącej nogi nie chce zrezygnować ze wspólnego niebezpieczeństwa w towarzystwie dzielnych chłopaków Maja i Prokopa, dalej p. P. również z dwoma towarzyszami, dalej już młodzi z kol K i zamykającym pochód, więc ponoszącym równą z przewodnikiem odpowiedzialność kol. Ł. Tempo wolne, miarowe, serpentyna coraz gęstsza, ślady niedawno stopniałego śniegu coraz widoczniejsze. Nastrój poważny, milczenie, coraz rzadziej przerywane, oddech coraz szybszy, twarze ożywione i spokojne, choć zacięte. Działa już Moc górskich olbrzymów i przeczyste, krzepiące powietrze. Tak dochodzi orszak aż do pierwszych klamr. I tu raz jeszcze łamie się wola czynu, raz jeszcze odzywa się pokusa powrotu lub zmiany drogi. Z jednej strony schodzi Starym Zawratem jakiś członek Zarządu Towarzystwa Tatrzańskiego, który, spełniając zresztą swój obowiązek, przestrzega przed drogą, nieomal grozi, łamie ducha, wyzwała pospolitość.

Z drugiej strony przeszkoda jeszcze poważniejsza już za pierwszymi klamrami. Przodownik dostrzega kilka metrów drogi istotnie niebezpiecznej.

Wprawdzie ekspozycja niewielka, ale skała tak mokra, że nie odpaść od niej wydaje się nieprawdopodobieństwem. Przytem straszne zimno — palce grabieją. Szczególnie pierwszy krok trudny. Miejsca wgniecionego w skałę na $\frac{1}{2}$ stopy, żadnego oparcia na drugą, żadnego chwytu dla ręki. Gdyby było sucho, nie byłoby prawie niebezpieczeństwa, ale na tej mokrej pochyłej skałe przy zgrabiałych rękach — ryzyko trochę za duże. Gwoździe w butach zbyt drobne i płaskie wytarły się, że utrudniają tylko wspinanie się, a tu przecież odpowiedzialność za tę gromadkę, która poraz pierwszy przeważnie widzi turnie i toruje sobie drogę. Gdyby spadł nawet nie w przepaść, gdyby tylko osunął się parę metrów i pokaleczył, wycieczka stracona, nikt nie pójdzie naprzód, a wrócić z tego miejsca, mając przed oczyma widmo upadku tego, który najlepiej powinien się trzymać, taki powrót byłby straszny. Okropny moment odpowiedzialności przygniótł go i przykuł do miejsca. Ledwie słyszał niecierpliwe głosy zmarzniętej drużyny, by nie stać, by iść naprzód, ledwie słyszał słowa kol. Ł., referującego przestrogi tatarnika. Wreszcie pomoc przyszła zzewnątrz. P. N. przeszła tych parę metrów i doszła do najbliższego łańcucha. Wprawdzie i ona powiedziała, że droga ciężka, ale przewyciężenie już nastąpiło. Szybko objął myślą ewentualność powrotu i wspięcia się — i wybrał to drugie.

Orszak ruszył. Drugiego równie ciężkiego momentu już nie było. Wprawdzie oślizłe skały, lodem okryte klamry i wysiłek przełomu psychicznego czyniły drogę stokroć trudniejszą od zwyczajnej, ale radość przewyciężenia się przywracała równowagę. Ani długi trawersujący łańcuch, wprowadzający do

ostatniego komina, ani głęboki śnieg na szczytowej półce nie wprowadziły już ani jednego przykrego uczucia. Wyszedł spokojnie na przełęcz.

Jakich uczuć i wrażeń doznawali inni uczestnicy wycieczki, tego oczywiście skreślić nie sposób. Ilu ludzi, tyle razy inaczej załamał się ten Zawrat w duszach.

Na przełęczy dał ostry, przenikliwy wiatr. Kierownik wycieczki stał i czekał, dopóki nie przyjdą wszyscy. Tuż za nim przesunęła się grupka, złożona z trzech czy czterech osób, które wobec braku widoku zaczęły natychmiast schodzić ścieżką zasypaną śniegiem, nieprzetartą przez nikogo. Za załomem w żlebie Zawratowym panowała cisza, choć szła spora gromadka ludzi, nic jej nie mąciło. Stopniowo w odstępach paruminutowych wysuwały się z za ostatniego zakrętu towarzysze. Obserwowałem ich twarze, wszystkie były poważne i skupione, kilka radosnych (widocznie pogłębiony nurt życia przepłynął przez nie świadomie) w dwóch tylko zauważyłem znamiona obłądnego strachu. Wszyscy wydali mi się jakby odrodzeni i wszyscy bardzo bliscy, zbierała mnie wprost ochota pokolei wszystkich przyciskać do piersi.

Przejście Zawratu, choć może trochę szaleńcze, było niewątpliwie najwartościowszym momentem całej wycieczki, miało ogromną wartość wychowawczą. Świadomość niebezpieczeństwa przy równoczesnej świadomości, że na realną pomoc drugiego nie bardzo można liczyć, hartuje i wyrabia. Dopięcie celu trudniejszego niż zwykle podnosi i umacnia. Wspólnosc niebezpieczeństwa mimo niemożności niesienia bezpośredniej pomocy, zespala i uspołecznia.

Po przejściu Zawratu sporo osób pewno myślało o tem, że przeprawa nie miała sensu, że była lekkomyślna, że nie warto było narażać się na dość oczywiste niebezpieczeństwo. Jeżeli ktoś jednak jeszcze parę dni potem myślał taksamo i ślubował sobie, że więcej w takich warunkach w góry nie pójdzie, dla takiego nie istnieje problem pracy nad sobą, i taki — śmiem to twierdzić — przeżył wtedy nieświadomie i wbrew swej woli najwartościowszą część swego życia, która się już nie powtórzy. Widok z Zawratu stracony bezpowrotnie. Nie widać nawet Walentkowej, nawet Murów Liptowskich. Przez mgłę ledwie prześwieśla niziutko jeden ze stawów. Mgły z doliny wolno idą w górę. Śnieg leży do połowy wysokości Zawratu, ale jakoś nie żał widoku, bo samo wspinanie się dało tyle emocji, że ono zastąpi widok.

Bez posiłku zmyka wycieczka lubelska wdół. Niema czasu na takie fraszki, a zresztą zimno nie pozwala na rozłożenie obozu. Szuk oczywiście rozpręga się, każdy idzie jak chce i może. Pragnienie swobody, długo krępowanej, wyładowuje się. Maj, Prokop i inni zbiegli z szybkością kozic wdół. Jeszcze przez jakiś czas mającą jak małe, czarne punkciki na śniegu, aż nikną za Kołem. Prawie tego samego grzechu dopuszcza się kierownik. Biegnie wdół, zatrzymuje się od czasu do czasu nie poto, by wypocząć, lecz by spojrzeć za siebie na główny trzon orszaku. Bo widok gęsiego ciągnącej gromadki, przerywanej mgłą, ostro odcinającej się na bielutkim tle, zagajającej się w rozliczne figury według ścieżki, jest miły i ciągnie oczy. Języki, spętane powagą chwili na Zawracie, teraz wyswobodzają się.

Temat oczywiście wszechwładnie panuje jeden, zaczerpnięty z niedalekiej przeszłości, bo każdy opowiada swe świeże przeżycia. Kto chciał płakać z powodu zimna, a przecież nie płakał, ten chwali się swą siłą woli; kto zazdrościł bliźnim, że zamiast

ażurowych pończoszek ustroił swe odnoża tylne w wełniane kamasze, teraz ze wstydem kaja się z ciężkiej winy zazdrości; przewędrował kto Zawrat, niosąc kocioł na szyi, bo przedtem konsekwentnie uchylał się od spełnienia obowiązku, chlubi się teraz przymusową cnotą, wysławiając potęgę swego ducha i karku; nawet jeżeli komu wprzecz dzień śniły się trzy trumny, a na Zawracie obawiał się, że spadnie, pociągając jeszcze dwoje (koniecznie dwoje), przypomina sobie zwodniczy sen, kto pragnął gorąco żyć i zachęcał towarzyszkę, by na niego nie spadła, ten cieszy się, że jego prośba została uwzględniona.

Za Kołem ustępuje śnieg, wylaniają się dalsze stawy; teren, z którego pokrywa śniegowa znikła może przed godziną, staje się dotkliwie wilgotny. Poprzeczne, z Kozich Wirchów i Krzyżnego płynące strumyki, imponują ilością wody i szerokością. Ale nikt prawie wody nie pije, bo ma jej dość w trzewikach i dolnej części garderoby. Olbrzymi kamień, zwracający zawsze uwagę, leżący na samej ścieżce, dziś oblany wodą, że zbliżyć się doń niepodobna. Pod grobowy kamień Bronikowskiego, stojący pod Zamarłą Turnią, podchodzi gromadka, brodząc w mokrej trawie. Nikt nie myśli o spoczynku, ani o jedzeniu, jakaś siła popycha wszystkich, nawet tych, którzy zawsze głośno reklamują potrzebę spoczynku. Nareszcie widać schronisko przy Wielkim Stawie. Pierwszy mrok zasinił już belkocące stawy, gdy czoło pochodni dotarło do schroniska. Niestety pokazało się, że było ono już zajęte, bo wycieczka wileńska, która wyprzedziła nas zaledwie o pół godziny drogi, zarezerwowała nieliczne łóżka dla siebie. Pozostały zatem dwie drogi do wyboru, albo nocować na strychu, szczękając zębami z zimna, albo iść nocą do Morskiego Oka. Kiedy nadeszły p. Z. i p. P., złożyło krótką naradę. Obie panie bardzo znużone postanowiły przenocować we wspólnym łóżku na miejscu (później została jeszcze p. Lora) inni zdecydowali się iść do Morskiego Oka. Znowu nie było czasu na gruntowniejszy posiłek. Szklanka herbaty, pośpiesznie z plecaka wyrwany kawałek chleba zaspokoili pierwszy głód. Pośpiesznie zwijano manatki i gotowano się w drodze. Kilku chłopców z dwiema towarzyszkami poszli naprzód, nie znając nawet dobrze drogi. Reszta policzyła się i pożegnawszy zostające panie zaczęła niewyraźną drogą w kosówce okrążyć staw Przedni. Pora była bardzo spóźniona. Oczy pracowały z wysiłkiem, by utrzymać ścieżkę. Mgły trochę ustąpiły wprawdzie, odsłaniając groźny Wołoszyn, ale mrok wypełzał już z wszystkich kątów. Po przebrnięciu kosówki, na stromej drodze, wiodącej ku Świstówce, złączyła się straż przednia z głównym oddziałem. Przepyszny widok na dolinę Rostoki był oczywiście stracony. Jedynie białe smugi zlatujących z Wołoszyna potoków wyróżniały się z ciemnego tła, strażującego nad Rostoką olbrzyma. A przecież w dzień tyle tam światła, odcieni, barw! Droga coraz żmudniejsza, wreszcie pod samym szczytem trzeba chwycić się traw, by wyjść na przełęcz. Coraz ciemniej i ciemniej. Błądo jeszcze odbija ścieżka. Ale latarek i tak jeszcze się nie świeci, bo w przeklętej kosówce bez światła nie ujdzie ani kroku. Zmęczenie wzrasta. Kiedy na Świstówce przewodnik zapowiedział, że zasadniczo nie będzie się już iść pod górę, przyjęto tę enuncjację z głośną radością, ale potem trzeba się było procesować o każde małe wzniesienie, powołując się na to małe słówko „zasadniczo”. Przypuszczać można, że wszelkie zasady zostały wtedy gruntownie znieprawione. Na przykre, kosówką zarosłem kamieniskiem, zabłysły latarki, wytwarzając jakiś niesamowity nastrój. Halę Gładką przebyła wycieczka, nie bacząc

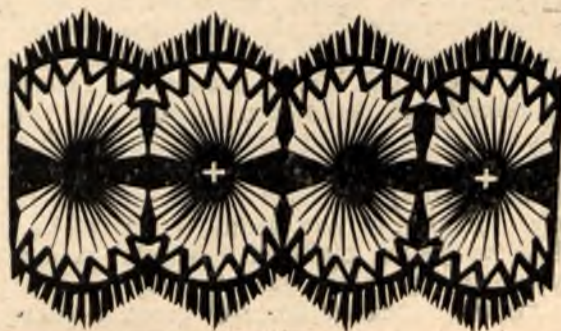
na ciemności i wilgotną trawę, prawie pędem, poczem zaczęło się pracowite schodzenie kamienistą serpentyną wśród kosówki. Światła było za mało, korzystała z niego zaledwie część trzecia. Niektórzy, np. kol. Łastowiecki, ostentacyjnie wzdrygnęli wątem światelkiem słabnącej baterji i poszli naprzód w dokładny mrok, torując drogę. Migotało złudne światło z nad Morskiego, ale chyba poto. by utwierdzić wiarę w błędne, stale cofające się ogniki. Droga, niewygodna nawet w dzień, stawiała trudności znaczne. Każdy pochyły oślizły kamień stawał pułapką na wymęczonych do ostatnich granic możliwości wędrowców. Sygnalizowano niebezpieczniejsze miejsca, podając wtył ostrzeżenie, ale były one właśnie niepotrzebne, bo niejednokrotnie ten właśnie, który opowiadał następnemu, że trzeba uważać na ogromny kamień, sam walił się jak kłoda w mokrą trawę. Ilości i jakości wypadków nie wyśpiewałby nawet Homer swem wszechwładnym piórem. Zbiorowa dusza ześrodkowała się na trudnościach drogi. Mechaniczne, bezcelowe powtarzanie ostrzeżeń, dyskretne krzyki padających były jedynymi głosami, przerywającymi głęboką ciszę. Nawet odgłosu własnych kroków prawie nie było słychać. Szczęściem nikt nie osunął się poważnie. Wprawdzie p. N. stoczyła się w kosówkę, ale wyszła z tego wypadku bez szwanku. Dziewczęta nie mogły już przeważnie iść, ale oddawszy się w opiekę chłopców, otoczone ramionami, wolno posuwały się naprzód. Już pod Morskiem zapalono jeszcze kilka świec, które wprawdzie gasły co chwila, ale ostatecznie poprawiły sytuację. Przez potok, który powstał z wody deszczowej, wydostaliśmy się na szosę. Rozkoszna jej gładkość dodała sił nowych tak, że w parę minut byliśmy w schronisku. Marsz dzienny skończył się o godzinie 10 minut 30.

Na hali turystycznej było miejsca mnóstwo. Zajęto przedewszystkiem wszystkie wolne łóżka, nieliczna reszta pomieściła się na siennikach. Brakowało Maja i Iwanka.

Mężczyźni zajęli lewą część strychu, dziewczęta prawą, łącznikiem w środku była p. N. Nikt znowu nie myślał o poważniejszym posiłku. W pół godziny po zainstalowaniu się sen twardy ogarnął „bohaterów Zawratu”. Sen jednak, choć głęboki, nie uchronił zmordowanych wędrowców przed uczuciem zimna, zwłaszcza, że temperatura spadała z zawrotną szybkością.

Szczególniej kol. Kozubowski, który nie miał własnej derki, a umieścił się pod samym oknem, cierpiał dotkliwie; choć nakrył się mokrym, potężnie ziębiącym płaszczem, surdudem, spodniami, trzewikami i skarpetkami, zmarł w nocy potężnie. Równie ostry klimat panował w przedziale dla pań, w którym jedno okno było wybite, jak wymownie świadczył o tem fakt wsadzenia całego siennika w ramy okienne niby ochronnego parapetu przeciw pociskom autentycznego mrozu.

W. B



Pieśni alpejskie, przekład z „Wilhelma Tella“ Schillera.

I. CHŁOPAK RYBACKI.

Uroczę jezioro zaprasza gościnnie
Do miłej w swym łonie kąpieli,
A dalej, gdzie kwiaty lśnią w słońcu niewinnie—
Śpi chłopiec na miękkiej pościeli.
Wtem ciszę przerywa szmer jakiś tajemny,
I flet się w oddali odzywa —
Jak w państwie aniołków dźwięk słodki i senny
Nad szklistą się taflą rozplywa.
Otwiera oczęta zdziwiony chłopczyna
I patrzy ciekawie dokoła,
Pierś jego pył wodny pokrywać zaczyna,
A z głębi tajemny głos woła:
„O! chłopcze mój drogi, tyś dla mnie stworzony,
Przychodzę na ziemię po ciebie;
Ja śpioszków wciąż wabię z pod wodnej zasłony
I wciągam ich w głębie do siebie“.

II. PASTERZ.

O! w kwiaty ubrane wy łąki zielone
I ciche słoneczne pastwiska.
Ja wasze widoki, radością złocone,
Pozdrawiam zdaleka i zbliżka.
Pastuszek stroskany pożegnać was musi
I szukać gdzie indziej przystani,
Bo zima niedobra nadchodzi i kusi,
By lato spoczęło w otchłani.
Żegnamy was drogie — i jadąc hen w góry,
Żyjemy wyłącznie nadzieją,
Że kiedyś zimowe oddalą się chmury
I wonie wiosenne powieją.
A wtedy, gdy ptaszę wesoło zaśpiewa,
Żegnając władczynię lodową,
Gdy świeżą zielenią okryją się drzewa,
Powróćmy się cieszyć na nowo.

III. STRZELEC ALPEJSKI.

Grzmiały góry wysokie, drżały szczyty i skały
I echo w doliny wlatuje,
To strzelec na zboczach odważny, zuchwały,
Nie bojąc się śmierci, poluje.
Nie straszna mu przepaść, on kąpie się w chmurach
I zrećnie omija przeszkody,
Jest królem potężnym i w dzikich hen górach
Nie boi się lodu ni wody.
Po ścieżkach zawrotnych przedziera się śmiało
I tropiąc wylękną zwierzynę,
Jak orzeł, co buja nad dziką gdzieś skałą.
Spogląda na piękną równinę,
Tam w cichej dolinie śpi miasto nad rzeką
I wioski okryte drzewami,
A w górach mgły szare dokoła się wleką.
I tulą się mięższy skałami.

Stefan Juljusz Rauhenberg.

Z wycieczki entomologicznej w r. 1924.

(Pamiętnik dwóch dni).

Dzień 18 lipca 1924 r. był kropla w kroplę podobny do swego poprzednika. Słońce świeciło jasno i zachęcało do wstawania. Dyżurni Rybicki i Wdowiak wstali o 6-ej i przyrządzili łącznie ze znowu niewyspanymi paniami śniadanie. O 7-mej pospędzali dyżurni resztę wylegujących się leniuchów, poczem dzień aż do wymarszu układał się tak jak poprzedni. Przed 9-tą ruszyła straż przednia, złożona z p. Br., p. G. i M. do Szczawnicy, celem załatwienia niezmiernie doniosłego zadania t. j. wyrobienia przepustki na czeską stronę. Awangarda mknęła szybko tak, że w 40 minut stanęła w centrum Szczawnicy. Tutaj podzieliła się na dwa drobniejsze oddziały. Jeden w sile jednego człowieka siadł cierpliwie na ganku, czekając przybycia p. dyrektora, wystawiającego przepustki. Kwestja przedostania się na czeską stronę mgliła się coraz bardziej, bo

naprzód zachodziło prawdopodobieństwo, że trzeba będzie brać przepustki dla każdego z osobna, czyli innemi słowy zapłacić 25 zł., powtóre rano jeszcze przed wymarszem odwiedził nas sam admirał floty Krościeńskiej, Koterba, klnąc się na wszystkie świętości, że nas Cześć żadną miarą na drogę pienińską nie puszcza, że przepustki uprawnia nas do przekroczenia granicy czeskiej dopiero w Czorsztynie. Te i tym podobne posępne myśli wirowały w głowie siedzącego na ganku, gdy tymczasem nadszedł p. dyrektor. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności p. dyrektorowi nie uśmiechało się bynajmniej bazgranie 25 przepustek, poradził więc, by zapytać komisarza zdrojowego, czy nie pozwoli wypisać wspólnej przepustki. Pana komisarza oczywiście jeszcze nie było, trzeba było czekać, a w poczekalni zebrało się tymczasem dużo ludzi. Szczęściem policjant, pełniący

służbę, uznał, że wycieczka musi zaraz odejść i puścić mnie pierwszego przed oblicze władzy. Władza zdecydowała, że można wystawić wspólną przepustkę na nazwisko kierownika. Za chwilę znalazłem się znowu u dyrektora, który wystawił przepustkę. Należało teraz wrócić do komisarza celem uzyskania podpisu. Tę sprawę załatwił już p. G., który przy tej sposobności rozdarł sobie kieszeń (na wycieczce wysokogórskiej nieszczęśliwe wypadki są na porządku dziennym). W tym czasie, gdy p. Br. włóczył się od Ananasa do Kaifasa czyli od dyrektora do komisarza, p. G. i p. M. powzięli myśl śmiałą i piękną t. j. uleczenia się z wszystkich możliwych chorób, trapiących ludzkość. W tym celu chodzili od źródła do źródła, wypijając wszędzie masę wody leczniczej aż do górnej granicy niepeknięcia żołądka.

Kiedy ta granica niewielkim stosunkowo wysiłkiem została osiągnięta i kiedy przepustka, co prawda opatrzona złowrogim dopiskiem „przez Czorsztyn“, zniknęła w głębi portfela, wszyscy trzej śmignęli przez Szczawnicę w dół celem przedostania się na drogę pienińską, gdzie miała czekać straż główna. Doszli jednak spokojnie aż do draga, symbolizującego granicę polsko-czeską, pogadali przyjemnie ze strażnikiem celnym, przeprawili się łodzią do schroniska Sienkiewicza, wykopalili się, zdołali nawet zbić zegarek p. G., a z głównej siły jeszcze nikogo nie było. Znudzeni zaczęli już wracać do Szczawnicy i dopiero w drodze powrotnej natknęli się na resztę towarzystwa, które, zwiedziwszy Sokolicę, zmierzało dopiero na drogę pienińską.

Tutaj wypada się cofnąć wstecz i przedstawić losy grupy sokolickiej. Ponieważ kronikarz tam nie był, musi poprzestać na relacjach postronnych, a tem samem zastrzec się co do wartości historycznej tego ustępu. Ustalono następujące fakty: 1) Droga od mostu na szczyt Sokolicy trwała godzinę i była bardzo nużąca. 2) Widok z Sokolicy był wspaniały. 3) Wśród towarzystwa panował nastrój religijny, czego dowodzą dwa fakty, a mianowicie na szczycie Gocyła, spojrzawszy w zieloną przepaść, zaintonował „Padniemy na twarz przed Tobą“, w drodze zaś powrotnej, kiedy Wdowiak ukazał się między autentycznymi barankami, zaczęto nań wołać: „Paś baranki moje“. 4) P. Bł., schodząc z góry, upadła na oboje kolana, z których w jednym coś chrupnęło, w drugim nic. 5) Niepylaków na Sokolicy nie było.

Około 12-ej w południe zebrał się wszyscy i nastąpiła walna narada. Ponieważ jednak o żołądkach pustych, lub napełnionych wodą leczniczą, źle się radzi, przedtem urządzono drugie śniadanie nad Dunajcem, przyczem, jak wieść niesie, Gocyła i Sagan zjedli na dodatek do normalnej porcji 4 koguty, pozostałe z przed czterech dni z podróżnych zapasów p. D. Następnie odbyła się generalna kąpiel, w czasie której niektóre nasze zuchy przepłynęły Dunajec szeroki i głęboki w tem miejscu. Szczególniejszą sielanekę urządził sobie Wdowiak, który rozbrawszy się na wyspie, przepłynął Dunajec, przedostał się w stroju Adamowym na przeciwległe skały, dumał zapewne o tem, jak niepotrzebną i ciężką rzeczą jest ubranie, nie mówiąc już o p'ecaku i kotle.

Należało jednak ostatecznie zdecydować, czy Czesi puszczą nas na drogę pienińską. W trójkę udaliśmy się więc do strażnika czeskiego, który siedział nad Leśnym potokiem, przekładając mu, że powinien nas jako wycieczkę szkolną przepuścić.

Za chwilę całe towarzystwo przekroczyło granicę czeską i wkroczyło na zarośniętą, przez nikogo nieużywaną drogę. Szczęście nasze wzmogło się jeszcze, kiedy za pierwszym zakrętem na Golicy po-

jawiły się niepylaki. Poszły w ruch siatki, chłopcy, fruwając po stromych skałach, złowili sześć sztuk i złożyli je u stóp uszczęśliwionego p. D. Niepylaków byłoby się wtedy złowiło niewątpliwie więcej, ale przeszkodziło temu słonko, ukazując się kapryśnie i przelotnie i znowu niknąc za coraz bardziej gęstniejącymi chmurami, naddciągającymi aż hen daleko z Tatr. Długa, lecz cudna droga pienińska mignęła tylko jak senne marzenie. Ledwie zdążyliśmy się opatrzyć, już siedzieliśmy u stóp Czerwonego Klasztoru, patrząc na stare lipy, roje łodzi, szeroki, zielony Dunajec i nawprost nas leżącą grupę Trzech Koron. Coprawda nasi niektórzy chłopcy nie okazywali żadnego zachwytu, ćwicząc się zapamiętanie w puszczeniu kaczek na wodę, w czym dzielnie dopomagała im p. Z. D.

Tymczasem na świecie robiło się jakoś dziwnie poważnie i uroczyście. Wolniutko od Tatr sunące chmury nabierały koloru stalowego, Trzy Korony ściemniały, lasy posmutniały, Dunajec zbrunatniał i sunął jeszcze poważniej i bezszelestniej niż przedtem, z szczelin górskich zaczęły wyzierać Smutek i Zaduma, trzeba było myśleć o odwrocie. Ugodziliśmy 12 łodzi: pospinanych po 4 razem i pięknie umajonych

Jako gości z Polski mieli nas wieźć flisacy sromowieccy. Wprawdzie flisak ze Szwabów upewnił nas, że „Sromowiany, biorąc po 3 zł. od osoby, zdzierają nas, bo takich osób (jak nasi chłopcy) można brać po dwie na łódź, ale umowy nie można było cofnąć. Wymówiliśmy sobie tylko, że nie będzie żadnych dodatków i dowiozą nas nie do granicy, lecz pod samą Szczawnicę. Po załatwieniu umowy i związaniu łodzi zaczęła się repartycja osób ciężkich i lekkich. W jedną łódź siadł p. Pow. (osoba niewątpliwie poważna), który oblepił się drobiazgiem, w drugą siadł p. Dryja z córkami, p. Br. i p. Bł. i kilku chłopców, ostatnią zajęła lżejsza starszyzna, Maj i Sikora.

Wypłynęliśmy z przystani i płynęliśmy tą samą drogą, którą przepływa coroku kilka tysięcy osób, którą ja sam tyle razy płynąłem, a przecież wrażenie zawsze jednakie, zawsze równie potężne. Czynnikiem nowym był smutek, lejący się z chmurnego nieba, pełnący od ciemnych lasów, wysuwający się z ponurych żlebów i szczelin skalnych. Na łodziach też, choć jechało w nich tyle zielonych główek, które z równym zapalem puszczają kaczki w przełomie Dunajca jak w Bystrzycy, panował naogół nastrój poważny; przyroda sama smutna wciskała przemocą w duszę nakaz zachowania powagi. Zresztą był to smutek łagodny, miły, prawie radosny. Zresztą wszystko to samo. Widzimy kilka razy Trzy Korony, mijają nas odwieczne, ciche, zadumane, u dołu lasem pokryte, u góry nagie i białe skały. Ta sama woda przepływa pod nami, raz burzliwa, niesforna, namiętna, plująca pianami na stawiające jej opór kamienie, drugi raz poważna, głęboka, ciemno-zielona, spokojna, jak człowiek, który sterał siły w walce bezowocnej. Górale wymieniają chętnie nazwy skał, łączą łodzie w miejscach zwykłych, pracują z wysiłkiem tam, gdzie wartki prąd pędzi łodzie na potworne kamienie. Tu i owdzie buchnie urywany śmiech, dobija się w chmury pieśń, przeważnie smutna, dostosowana do tła. Twarze starszych poważne, choć pogodne, dusze oddychają czarem niesfałszowanego piękna, dusze szukają może swych początków w prabycie. I niektórzy uczniowie (Maj, Sikora) dostrajają się, żyją życiem głębszym, wartościowszym.

Po dwóch godzinach prawie góry opadają, przepływamy ujście Leśnego potoku, robimy owację


~~~~~

W I Z J A.

Gdy mnie wieczorny zmrok owionie  
Jakieś liljowe, blade dłonie  
Wokoło skroni mej się plotą,  
Wyczarowane snąc tęsknotą..  
Dłonie łagodne, dłonie kwiaty,  
Znane.. dawnymi.. kiedyś laty.

W wieczornym mroku pachną róże..

Pamiętam... rosły przy marmurze  
Starego grobu... którąś wiosną...  
...Nie wiem, czy dziś tam jeszcze rosną...  
Rosły od woni swej omdlałe,  
Rwały je czyjeś dłonie ślęde.  
Dłonie... kochane ponad życie,  
Pamiętam, lkałem kiedyś skrycie  
Gdy mi zabrano ich pieczyotę,  
Gdy mię odleciał sen mój złoty,  
Pamiętam wszystko . . . . .  
. . . . . Noc zapada,  
Wyrzała twarz księżycza blada  
I wnet się skryła w ciemnej chmurze.

Jak przejmująco pachną róże...  
...  
...Czyjeś liljowe białe dłonie  
Znów pieścżą me gorące skronie  
I wionie cichy szep: „Pamiętasz  
Ten naszych uczuć stary cmentarz”.

~~~~~

trzebna, siatka spadła na motyla, a Rybicki znosi go już wolnemi, pełnemi godności ruchami do głównej kwatery. Tam znowu zabłyszczał czerwonymi plamami niepylak w rejonie Gocyły. Zawzięty dowcipniś podskoczył na dwa metry w górę, przeskoczył biegnącego na odsiecz Witka, kopnął mimochodem Głęba i Sagana, poczem fiknął kozła i stoczył się o 50 mtr. niżej, ciągnąc za sobą ca'ą lawinę kamieni. Niepylak ogłuszony frunął w górę, ale tam czeka go już przyklepiony do malutkiego zielonego uplazka Mostrąg. Pewnemi, wolnemi ruchami zabiega drogę pogromcy Gocyły i za chwilę motyl trzepocze się już w jego siatce. Na dole wśród drugiej linii rezerw bez siatki w dłoni latał jak oparzony, wrzeszcząc przeraźliwie, Missol. Nagle spostrzegł niepylaka, który przestraszony obławą, zleciał na dół i przesunął mu się nad głową. Podniósł okropny pisk o siatkę, gdy jednak nikt mu nie odpowiedział, pognał z czapką za motylem, schwycił go, nakrył, poczem, wrzeszcząc w niebogłosy, odniósł go p. D. Takie to toczyły się homeryckie boje, które w przeciągu godziny wzbogaciły zbiory znowu o kilkanaście sztuk.

W. B.

Cel i zadanie drużyny seminarjalnej.

Młodzież to przyszłość każdego narodu. Jaka ona będzie, taka będzie Polska.

Zróbmy więc zawczasu przegląd naszego przysłego społeczeństwa i spójrzmy na życie, w masę naszej młodzieży—tej, której jest miliony—tej, która najbardziej potrzebuje naszej pomocy, t. j. w pierwszym rzędzie na młodzież wiejską. Wszak to przysły nasz stan włościański.

Jakżeż szare i smutne jest życie tych małych pracowników, chodzących z workiem na głowie i batem w rękę, którzy już toczą walkę o byt, a nie mają najczęściej żadnej opieki oprócz surowej władzy ojcowskiej, z których wielu nie widzi nawet szkoły. Smutniejszy jeszcze widok znajdziemy wśród mieszkańców suterenu i poddaszy miast, gdzie wychowuje się nasz przyszły stan robotniczy, najtęższe głowy do myślenia i najsłabsze ręce do pracy. Z brudnych, ciemnych i nieprzytulnych izb stara się dziecko wyrwać na ulicę, która pochłonie jedną ofiarę więcej.

Brak podpory i kierunku duchowego powoduje tę dziatwę upadek. My harcerze pójdziemy do niej, bo my znajdziemy ją najłatwiej, ona odczuje odrazu w nas braci i pójdzie za nami nie tylko z ufnością i przekonaniem ale z zapalem. Musimy iść do tych dzieci, podać im rękę, wskazać nowe horyzonty i opromienić to biedne życie radością, płynącą ze spełniania harcerskich praw.

„Trzeba im powiedzieć niesłyszana dotąd ewangelję służenia Bogu i Ojczyźnie — trzeba wskazać rolę pracy społecznej i obowiązku — ubrać blaskiem bohaterstwa żołnierzy idei i Ojczyzny“ — woła jeden z instruktorów harcerskich. To nie frazesy i czcze słowa, ale hasła już wprowadzone w czyn przez harcerstwo i ze świetniami jak dotąd rezultatami. Istnieją już na terenie harcerstwa tak drużyny młodzieży wiejskiej jak i robotniczej. Drużyn młodzieży wiejskiej najwięcej posiada Chorągiew Poznańska, robotniczych Łódzka i Warszawska.

Harcerstwo, przeszczepione na grunt warstw uboższych, rozwija się wspaniale i daje świetne rezultaty. Ale praca tam tylko wydała dobre wyniki, gdzie drużynę prowadzi instruktor z ducha i ciała harcerz, przejęty ideą harcerską i swym obowiązkiem względem narodu i ludzkości, wychowany w służbie harcerskiej, rozumiejący tę młodzież, przede wszystkim harcerz, który wyszedł z tego samego środowiska społecznego.

Ale instruktorów takich mamy niestety jeszcze niewiele, musimy ich dopiero wychować i to zadanie mają spełnić drużyny seminarjalne, bo kto jeżeli nie nauczyciel stoi najbliższej młodzieży.

Zadaniem innych drużyn jest wychowywać dzielnych ludzi, gorących a czynnych patriotów. Wprawdzie z drużyn gimnazjalnych wychodzą dzielni instruktorzy, ale są to tylko jednostki, ujawniające zdolności i zamiłowanie specjalne w tym kierunku. A zatem drużynie seminarjalnej przypada to trudne, a tak zaszczytne zadanie — wychowanie kadr instruktorów.

Każda więc drużyna, każdy harcerz z drużyny seminarjalnej musi pamiętać zawsze o tem, że ma być nie tylko nauczycielem, ale i instruktorem, ale i tym, który tak wiele może zdziałać dla dobra kraju, przygotowując szeregi dzielnych jej synów.

Malesza.

ZŁOT NARODOWY.

WSPOMNIENIA.

Pierwszy zlot narodowy od 3 do 9 lipca 1924 r. Moment to dla harcerzy był niesłychanie doniosły, albowiem pierwszy raz, jak tylko harcerstwo istnieje, zjechali się nie harcmistrzowie, nie delegacje, nie przedstawiciele, ale drużyny, ale zastępy, ale wogóle harcerze jako całość. Co tylko myślało po harcersku, co czuło się harcerzami podążyło na zlot. Widziało się tedy, począwszy od przewodniczącego Z. H. P., a skończywszy na zastępowych i szeregowych, młodszych lub starszych harcerzy, pochodzących bądźto z Wilna i Zakopanego, bądź też ze Lwowa i Pomorza. I byli nie tylko harcerze z Polski. W specjalnych namiotach, nad którymi powiewały barwy angielskie, węgierskie, łotewskie, szkockie i i. przebywali drodzy nam goście. Olbrzymie błonia na „Siekierkach“ olśnione były lipcowym światłem, odbitem od wypiętych namiotów, a w powietrzu powiewały i chwiały się i trzepotały tak uroczym, tak jakoś dostojnie z takim powabem większe i mniejsze, wyżej i niżej proporce narodowe, kolory drużyn i godła zastępów.

Zapadał zwolna wieczór i cicha letnia noc roztaczała swoje wdzięki.

Zdała żarzyła się tysiącem światła stolica.

Obok szemrały nurty Królowej rzek polskich.

Zapalono ogniska. Zerwały się pieśni.

Razem z dymem, który przybrał od rojących się skier czerwonych barwy krwawe, mieszały się potężne głosy, ześlizgiwały się po proporcach, poruszały nadszarpane płótna i razem z chłodem Wisły biegły na Warszawę, odbijały się o pomniki sławnych mężów, uderzały o mury Cytadeli i ginęły gdzieś na Zamku królewskim lub zalegały dziedziniec przy kolumnie Zygmunta.

Od Wisły rozlewała się mgła.

Ogniska coraz bardziej przygasły.

Zaczęto odmawiać modlitwy.

Jeszcze raz uderzyła ale już o progi niebios, cicha, szczęśliwa, wyrwana z czterech tysięcy mocnych i gorących dusz: „Wszystkie nasze“.

W namiotach układano się do snu. Od strony namiotu komendy zlotu rozległ się dźwięczny głos trąbki. Biegł po rosie, zaglądając do namiotów, napełniał całe błonia i wreszcie w sennych objęciach mgły nadwiślańskiej utonął. Przeszło dwadzieścia sygnałówek podchwyciło ton i w powietrzu odegrała się jakaś niewidzialna walka. Ale straszniejszą była ona w sercach i duszach obecnych... Jak być harcerzem — to zawsze. Nieuchwytny duch mrokiem wstrząsnął ciałem, przewlókł się między namiotami i na znak dokończenia dzieła zaniepokoił proporce i... cisza.

Warszawskie światła przygasły, ruch wielkomiński zamilkł, i tylko Wisła szemrała i szemrała.

Antoni Sikora.



Obóz w Kozłówce.

W oddalonej o jakieś 40 km. na północ od Lublina Kozłówce, w wiejskim zaciszu, w samym rogu parku hr. Zamoyskich, ubiegłego lata byliśmy posiadaczami czterech, nieco krzywo rozbitych namiotów, jednej kuchni i stołu (wykończonych ostatecznie na tydzień przed rozjazdem), wreszcie ogniska i jeśli chodzi o ścisłość, czterech dołów na różne (w całym tego słowa znaczeniu) odpadki. Był to pierwszy obóz drużyny. Trwał on od 23 czerwca do 20 lipca, a 16-stu chłopców w rażąco za krótkich spodenkach było osobliwym fenomenem okolicy.

Obóz prowadził dh. Mieczysław Malesza.

Jako drużynowy był on jego komendantem.

Stanowisku swemu odpowiedział znakomicie, tylko cóż... trochę był (jak słusznie zauważono, a na co ja się najzupełniej zgadzam) za mały.

Może cośkolwiek mniej zaszczytną, ale nie mniej ważną (i zresztą niezbędną) funkcję kucharza powierzano codziennie innemu chłopcu. Wywiązanie się z niej stanowiło bezsprzecznie poważne zagadnienie, a argumenty jakimi się tutaj posługiwano w znaczeniu potocznym zmierzały do t. zw. odmówienia się.

No, ale ostatecznie to jakoś tam bywało. Nie wiem, czy już wam kto o tem mówił, że w pobliżu nas były harcerki.

Haaar-ceeder-ki i?!

No tak, właśnie — harcerki

Powiedziałem przecież że w po-bli-żu!...

Uważajcie... Otóż wiecie, co o nich powiedziano?...

Posłuchajcie. „Te harcerze (oni chyba wszyscy są ze szkoły) to i mieszkają pod pałatkami i sami gotują i chociaż ponorzyli park (to chyba nawet grzech tak), ale są pozatem dobre i nawet na Zagrodach pomogli chłopu zbierać garście. Ale te tam panny phil! to tylko jak nie śpiewają, to wezmą się pod boki i tak se chodzą, jakby Bóg wie nie co“.

Obóz naprawdę, to tego, udał nam się. Te rzeczy, o jakie najwięcej walczy się w obozach, osiągnęliśmy t. j. (albo jak chcecie to — to są) życie, zdrowie i pozostawienie po sobie dobrego imienia (tylko nie przypominam sobie, czy Michał uregulował rachunki z babą za mleko — ale to robi się).

Warunki naprawdę mieliśmy dobre. Park, świeże powietrze, dobry opał (jak nie było deszczu), życzliwość i przychylność otoczenia, oto były rzeczy

podstawowe. Chociaż nie... Prawda nie mieliśmy beczki na wodę (ten Początko tyle razy chodził w tej sprawie do p. Szczepańskiego i nic nie wskórał, że już mniej pod tym względem cierpliwi zupełnie słusznie podejrzewali go o zbyt częste wizytowanie druhen. Ale jak to mówią: Nie widziałeś — nie mów).

Pozatem jeszcze (tylko znowu się obrazi, ale słowo daję, że to prawda) to warto wspomnieć, iż niejaki dh. przyboczny (niech nawet Gozdalski powie) za wiele naprawdę jadał. Ja przecież doskonale rozumiem, że jak jeść, to jeść, ale wtedy gdy drużyny przyjdą, to już jakby... nie tego...

I to nawet sam Malesza nie zwrócił uwagi na to, (ale gdzieby on wtedy uważał, jak przysłała zastępowa... Gadanie...).

A. Sikora.

HANIA.

Hej, płakała biedna Hania, płakała
Gdy kostucha jej Jasieńka zabrała.
Na mogilkę smutna często chodziła
I świeżuszką ziemię łzami kropiła.

Hej, nie spała w nocy Hania, nie spała,
Bo o Jaśku jasnowłosym myślała.
Na mogile powój w górę się wspina,
A biedota zawsze Jaśka wspomina.

Hej, ta Hania, hej ta Hania nieboże
Uschła biedna, że już płakać nie może;
Siedzi w domu bledziusia i cicha,
Myśli zawsze, zawsze płacze i wdycha.

Hej! — nie żyje biedna Hania, nie żyje,
Czarna ziemia młode kostki jej kryje.
Cała wioska na pogrzebie płakała,
„Hej — zana! toś biedna Haniu kochała!“

Stef. Jul. Rauchenberg.

KASA POŻYCZKOWO-OSZCZĘDNOŚCIOWA.

Na jednym z zebrań Samorządu kursu V wypłynął projekt zorganizowania na terenie kursu kasy o charakterze pożyczkowo-oszczędnościowym.

Kasa ta miałaby za zadanie niesienie pomocy materialnej potrzebującym jej, jak też wspólnie koleżków. Projekt ten przedstawiał się następująco: Każdy kolega, uczeń V kursu, zostaje członkiem kasy, składa też pewną określoną kwotę jako składkę na kapitał żelazny, nadto może wkładać do kasy kwoty na kapitał oszczędnościowy, który będzie mógł wycofać, kiedy zajdzie potrzeba tego, oraz wkładać do kasy wkładki na kapitał depozytowy, jeżeli ma pieniądze a narazie nie są mu one potrzebne. Wtedy jednak musi sobie zgóry naznaczyć termin, w którym będzie chciał wycofać pieniądze z kasy; jeśli zaś nie określi terminu przy wkładaniu pieniędzy, to, chcąc je z kasy odebrać, musi na kilka dni

to sobie wypowiedzieć. Ci koledzy zaś, którzy nie mają narazie pieniędzy, a potrzebują ich, w kasie zaś swoich pieniędzy nie mają, wtedy mają możliwość pożyczyć z kasy potrzebną kwotę na pewien czas.

Zarząd postanowił ten projekt przedstawić kolegom na walnym zebraniu. Kolegom podobał się ten projekt, chociaż byli i tacy, którzy nie wierzyli, ażeby coś podobnego mogło istnieć na terenie kursu, motywując swe wątpliwości tem, że uczniom zawsze brakuje pieniędzy, nigdy im nie zbywa, jak tu w takich warunkach mówić o oszczędnościach albo o kapitałach depozytowych, kiedy uczeń nigdy nie ma pieniędzy w kieszeni więcej niż kilka dni. Większość jednak zgodziła się na założenie takiej kasy, określając wkładkę członkowską na kapitał żelazny w wysokości 20 gr., a prowadzenie tej kasy

powierając Zarządowi Samorządu. Wybrano tylko komisję rewizyjną.

Teraz już istnienie kasy i jej funkcjonowanie było uzależnione od Zarządu, który zabrał się do

pracy ochoczo. Sporządzono dwie książki buchalteryjne z dwóch grubszych zeszytów a mianowicie księgę kasową i księgę dłużników i wierzycieli, których folja przedstawiają się następująco:

Księga kasowa. Strona lewa. (WINIEN).

KWIECIEŃ

31

Data	Nr kwitów.	KTO WPŁACA	Kwota wpłacona.	Z tego przypada na					Termin wypowiedzenia depozytu.	Powołanie na ks. dłuż.
				kapit. żelazny	kapit. depozyt.	kapit. oszczęd.	zwrot pożyczki			wierzyc.
		Z przeniesienia								
kwiecień	12 34	T. Borzuchowski	35	—	25	5	5	20.IV 15 zł. 25.IV 10 zł.		2
		Do przeniesienia								

Księga kasowa. Strona prawa (MA).

1926 r.

31

Data	Nr asygnacji	KOMU WYPŁACONO	Kwota wypłacona	Tytułem.					Termin zwrotu pożyczki	Powołanie na ks. dłuż.
				Pożyczki	zwrotu wkładki depozyt.	zwrotu wkładki oszczęd.	inne wydatki			wierzyc.
		Z przeniesienia								
Kwiecień	12 52									
	20 42	T. Borzuchowskiemu	15	—	15	—	—	—	—	2
		Do przeniesienia								

Księga dłużników i wierzycieli. Strona lewa (WINIEN.)

2

TADEUSZ

Data		T R E Ś Ć	Kwota		Termin zwrotu	Powołanie na ks. kasową.
Miesiąc	dzień		Zł.	gr.		
kwiecień	20	Zwrot wkładki depozytowej	15	—	—	31

Księga dłużników i wierzycieli. Strona prawa (MA).

BORZUCHOWSKI

2.

Data		T R E Ś Ć	Kwota		Termin wypowiedzenia.	Powołanie na ks. kasową.
Miesiąc	dzień		Zł.	gr.		
kwiecień	12	Wkładka depozytowa	25	—	20.IV 15 zł. 25.IV 10 zł.	31
"	"	oszczędnościowa	5	—	15.VI	31
"	"	Zwrot pożyczki	5	—	—	31

Wkładki na kapitał żelazny wpłynęły dosyć dobrze, na kapitał depozytowy też kilku kolegów złożyło i to większe sumy, gorzej przedstawiała się sprawa z oszczędnościami, bo nikt nie składał, każdy bowiem chciałby złożyć na oszczędności przynajmniej złoty i więcej, a miał kilka groszy. Kiedy Zarząd ogłosił, że na oszczędności przyjmuje już od grosza, zaczęły do kasy wpływać oszczędności. Najlepiej zato przedstawiała się sprawa pożyczek, bo jeszcze w kasie pieniędzy wiele nie było, a zgłoszeń na pożyczki bardzo wiele. Zarząd poradził tu sobie w ten sposób, że pożyczał najwięcej potrzebującym.

W taki sposób powstała u nas kasa. Teraz funkcjonuje ona bardzo dobrze. Wynikiem tego jest prawie zupełna samowystarczalność finansowa kursu, koledzy bowiem w wyjątkowych tylko wypadkach zwracają się o pożyczki do Samopomocy. Dawni opozycjoniści kasy obecnie zmienili swoje zdanie, gdyż widzą jej owocną działalność.

Kasa taka umiejętnie zorganizowana zwłaszcza na terenie jednego kursu lub klasy na duże szanse rozwoju i może oddać naprawdę wielkie usługi nie tylko pod względem materialnym, ale i pod względem wychowawczym, pod tym ostatnim najwięcej. Kasa bowiem w większym stopniu uspołecznia kolegów niż Samorząd najczęściej nieodpowiednio postawiony, a zatem nie odpowiadający zadaniu. Zarząd kasy bardzo skrupulatnie musi przestrzegać punktu-

alności w oddawaniu pożyczek, to bowiem daje gwarancję kolegom, że włożone do kasy pieniądze otrzymają z powrotem we właściwym czasie. Wyrabia więc zaufanie do tej instytucji u wkładających a obowiązkowość i punktualność u pożyczających. Niepunktualny dłużnik pozbawiony jest możliwości korzystania z kasy. Uczy również bezinteresowności tych, którzy prowadzą kasę jak i wkładających do niej. Wyrabia także poczucie odpowiedzialności u prowadzących.

Reasumując więc wszystko, powiemy: kasa zapewnia pomoc kolegom ekonomicznie słabszym, wdraża do punktualności (jeśli tej się nie wywalczy, pomyślny rozwój kasy z góry przesądzony). Wyrabia bezinteresowność oraz odpowiedzialność; w rezultacie prowadzi zaś do samowystarczalności i uspołecznienia.

Z tych więc względów zasługuje kasa tego typu na jaknajwiększe rozpowszechnienie tembardziej, że prowadzenie ksiąg nie nastrocza żadnych trudności. Pamiętać jednak należy, że, jeśli kasa ma odpowiedzieć swemu zadaniu pod względem wychowawczym, nie może wykraczać poza obręb kursu względnie klasy, ponieważ traci wtedy na sprężystości. Zarząd ma za dużo pracy, wskutek tego może się zaniedbywać, a to hamuje jej rozwój, dodatni zaś wpływ niweluje i sprowadza do minimum.

A. Poleszak.

REDUTA.

NOVELA.

Codzień w południe, gdy pan nauczyciel wychodził do miasta, a nas pozostawiał samych, rozpoczynaliśmy tę zabawę. Było nas, pamiętam, chłopców sześćdziesięciu w całej klasie: dzieliliśmy się na dwa obozy, z których jeden stanowili Polacy, a drugi Moskale, przyczem pamiętaliśmy zawsze o tem, by Polaków było mniej aniżeli Moskali. Mieliśmy i my w tem swoje wyrachowanie: chodziło nam o to, aby w razie zwycięstwa naszej strony, nam się podwójna chwala dostawała, a Moskalom tem większa przypadała hańba.

I zwycięstwo było zawsze przy nas, bo choć w polskim obozie było nas mniej aniżeli w obozie przeciwnym, to jednak, powodowani uczuciem patryjotyzmem, wstępowali do nas sami najęźsi uczniowie z całej klasy, nic więc dziwnego, że te wzajemne zabawy odbywały się codzień, jak zapisał i zawsze porządnie dostawało się w skórę naszym wrogom — Moskalom. Bo choć były w gruncie rzeczy żarty, ale instynkty, jakie się zawsze obudzają w zwycięzcach, budziły się i w nas po zwycięskiej batalji i w ogólnem zamieszaniu niejeden z przeciwników dostał porządnie od kolegi za uszy, lub po karku. Nie było o to swarów nijakich, gdyż pobity kolega nawet nie wiedział, od kogo złapał bolesny „poczęstunek”. Kończyły się więc takie zwycięstwa zazwyczaj na śmiechu i wesołych drwinkach, a i na tem polu byliśmy zawsze górą.

Różne to były zabawy. Raz udawaliśmy bitwę pod Racławicami, innym znów razem maciejowicką batalję, która wbrew historii zakończyła się zawsze naszą wygraną, a porażką Moskali. Już to ci Moskale nie zaznali u nas w szkole szczęścia, ba! nietylko u nas, ale i w Polsce całej.

W dniu, w którym rozpoczyna się niniejsze opowiadanie, a był to dzień jarmarczny, mając więcej niż zwykle czasu, gdyż nauczyciel nasz pozwalał sobie, jako w jarmark, podwajać co najmniej trzy razy zwykłą „porcję” czasu, zabraliśmy się do zabawy. Ponieważ nie mieliśmy jeszcze gotowego projektu co do bitwy, więc mówię do kolegów: Jaką życzyście sobie mieć dzisiaj zabawę? „Obronę Woli przez Sowińskiego”, huknęło w odpowiedzi ze dwadzieścia mocnych głosów. „Czy wszyscy zgodni?” — upewniłem się. „Wszyscy, wszyscy”, huknęło powtórnie. „A kto będzie Sowińskim?” zapytałem znów. „Ty, ty, Felku”, otrzymałem zgodne głosy na improwizowane jeneraństwo. Nie od tego byłem, gdyż chociaż było to jeneraństwo na wierzbie, ale wtenczas na takie drobnostki nie zwracałem uwagi — byłem z woli armji jenerałem i basta.

Zaraz też zrobiłem sobie nogę ze starej sztachety z ogródka pana nauczyciela i niby prawdziwy „wódz na szczudle”, kulałem zabawnie, z tą chyba różnicą, że zamiast dwóch miałem trzy nogi. Zaraz też na moje wezwanie stanęło przy mnie w gotowości ze dwudziestu co najęźszych uczniów, gotowych do ostatniej kropli krwi bronić swego jenerała. Nieprzyjacieli miał w swoich szeregach około czterdziestu „sztuby”, ale byli to przeważnie same „chudziątka”, więc też pewny byłem zwycięstwa i wcale na śmierć się nie gotowałem. Podzieliliśmy się więc wedle naszego zwyczaju na dwa obozy; Moskale stanęli po lewej stronie podwórza szkolnego, my po prawej i już mieliśmy zaczynać, gdy wtem jednemu z nas przyszło do głowy, aby wybudować

sobie prawdziwe okopy. Obie strony projekt ten przyjęły z radosną wrzawą, a ponieważ nie mieliśmy czem budować, nie namyślając się nazbyt długo, w chwili ogólnego zapalu, pobiegliśmy hurmem do drwarki pana nauczyciela, gdzie zawsze leżało na składzie rąbane drzewo i uzbroiwszy się w kawałki drzewa, byliśmy gotowi. Za zabudowaniami szkolnymi rozciągało się równe i świeżo zaorane pole, nadające się bardzo do naszego projektu, tam też wykomenderowaliśmy swoje dywizje i w kwadrans później tylko głowy było nam z naszych okopów widać.

Zaraz też zaczęliśmy kawałkami drzewa, które nam służyły za łopaty, rzucać w tylną ścianę szkolnej stodoły, która na większe szczęście znajdowała się około naszej „reduty”, naśladując basowy ryk armat wolskich. Gdy już nam naszych „kul” zabrakło, a chcąc się popisać przed moimi, jakem w zapale nazwał swoich kolegów, bohaterami znajomością sztuki wojennej i różnych fortelów wojskowych, wyprowadziłem nieznacznie moich „chłopców” z rowu i na niespodziewających się, a Bogu ducha winnych Moskali — uderzyłem. Zapal moich „czwartaków” był tak wielki, poświęcenie się tak bezgraniczne, że zapomniawszy o tem, że to tylko zabawa, a nie prawdziwa walka, kilku naszych przeciwników poczęstowaliśmy, z braku karabinów, pięściami wcale nieźle, a jednemu nawet, widocznie słabszemu od innych, uderzonem kawałkiem drzewa rozcięto czoło, z którego popłynęła obficie krew, ale tym razem już prawdziwa. Płacz i jęk nieszczęśliwego chłopca i kilku jeszcze jego współtowarzyszy podobnego losu zagłuszył nasz ryk radosny i głośnie wiwaty, które zwycięzcy wznosili na moją cześć, głośnym okrzykiem: „Niech żyje Sowiński, niech żyje!”

I tym więc razem ponieśli Moskale haniebną klęskę, która podwaja naszą wesołość, a której to ostatniej wtórował jęk i płacz pobitych kolegów. Ponieważ jednak dziwnym zbiegiem okoliczności mieliśmy akurat na ten sam dzień zadany wiersz Mickiewicza: „Reduta Ordona” z warunkiem wyuczenia się go na „pamięć”, którego treść w sam raz nadawała się do rozgrywających się wypadków, więc też nagle zaświeciła mi w głowie genialna myśl, aby zdobytą z takim trudem na Moskalu redutę, którąśmy ochrzcili „Redutą Ordona” wysadzić jak ongiś w powietrze, zapominając zupełnie o tem, że znaleźliśmy się w rażącej sprzeczności z faktami historycznymi. Projekt swój poparłem głośnym, niezbitym okrzykiem: „papier mam, zapalki mam, a prochu garstka także się znajdzie”. (Rzeczy te nosiliśmy zawsze przy sobie).

Naturalnie, że nikt ze zwycięzców swego „veta” nie położył i tak projekt mój za ogólną aprobatą przeszedł szczęśliwie i wszedł w życie. Pobici Moskale też zapomnieli o swej roli i oprócz tylko tych kilku pokiereszowanych Moskali, w najświętszej zgodzie zabrali się z nami do pracy.

Wydobyłem więc zaraz z kieszeni starannie owiniętą w papier garść prochu, a następnie, zrobiwszy z kawałka papieru coś w kształcie lejka, napełniliśmy go prochem, złożywszy go pod ziemną pokrywką, a następnie oddaliłem wszystkich na stronę, a sam, zdoławszy się na szczyt odwagi, wyjąłem z kieszeni zapalnik i pochyliwszy się nisko, z wielką

ostrożnością i troskliwością w obawie, aby mi zapalka nie zgasła, zapaliłem zabójczy nabój.

Proch eksplodował, a jego drobne ziarenka zaszyły mi się pod naskórek, kalecząc twarz i obsiadając na niej w postaci niezliczonej ilości czarnych płamek, niezmiernie bolesnych. „O Jezu! krzyknąłem z bólu i wrzeszcząc w niebogłose, upadłem na ziemię. A tymczasem pozostali współtowarzysze broni, widząc, co się dzieje, podnieśli okropny krzyk, który zmieszawszy się z moim bolesnym „basem“, utworzył piekielny chaos. Usłyszawszy jakiś krzyk nadeszło kilkoro co ciekawszych dziewczuch i kobiet, kiwając z politowaniem głowami na „głupotę“ i dziwie wymysły malców.

Potem nadbiegł zawiadomiony o wypadku, a trzęsący się ze strachu pan nauczyciel i zaczęła się translokacja rannych z pola bitwy do pokoju pana nauczyciela, który z heroiczną zaiste cierpliwością znosił skutki wybryków swoich niesfornych „wychowanków“, ale już wówczas podobno układał projekt zemsty na nas. Tu opatrzone nasze rany, a następnie wraz z resztą pobitych kolegów powędrowałem do domu. W domu dostałem porządną burę, a na końcu bolesną nauczkę po uszach, żebym na drugi raz lepiej strzelał i nie przyczyniał zmartwienia i trosk rodzicom.

Dziękowałem Bogu gorąco, że skończyło się to wszystko na lekkim połajaniu, ale zato druga, bo-

leśniejsza część całego dramatu... miała się rozegrać dopiero w klasie. Na razie przeleżałem tydzień cały w łóżku, mając nasmarowaną, pokiereszowaną twarz na „cal“ grubo jakąś skuteczną, wymyślaną przez zachorke driadki. Po tygodniu dopiero tej bolesnej kuracji wybrałem się z ogromnym strachem i duszą na ramieniu do klasy. Tu spisano sążnisty protokół ze szkód, jakie poniósł właściciel świeżo zaoranej pod siew wiosenny, a obecnie zamienionej na klepisko roli, jak również ze strat, poniesionych przez pana nauczyciela, którego drzewo wędrowało na wszystkie cztery strony świata i cała sprawa została oddana przed trybunał pana nauczyciela. Po przesłuchaniu świadków zostałem skazany jako „zamiast najstarszy, świecić przykładem młodszemu, dałem impuls całej tej nieszczęśliwej zabawie, która tak bolesne i opłakane skutki wydała“ na dwanaście godzin szkolnej „kozy“ o głodzie i chłodzie.

Niedługo znów po wyżej opisanych wypadkach, znów na podwórzu szkolnym rozlegały się wesołe śmiechy i żarty i po staremu odbywały się wesołe zabawy. I znów po dawnemu bijaliśmy Moskali i staczaliśmy zwycięskie batalje, ale już zawsze unikaliśmy zbyt wielkiego zapалу i tak bolesnych „poczęstunków“ i nigdy już nie urządzaliśmy „Reduty“.

Łukaszek.

Moje wrażenia z pierwszego występu chóru naszego seminarjum.

Przyszedł do mnie jeden gość z 5-go kursu i powiada: możebyś tak coś napisał do naszej 1-dniówki, coś z życia szkolnego. Temat dowolny, fantazja, wyobraźnia i ciężkawy polot myśli dozwolony; wolność, wolność i jeszcze raz wolność! Ja zaś, że zwróciłem uwagę na pierwsze słowa a nie na ostatnie, (zwłaszcza na to: wolność) więc powiadam jak to ze zwyczaju:

No tego nie tego, no tak, napisałbym, ale że to.....

No zgoda — powiada stanowczym głosem, chcąc oddziaływać na mnie terrorem moralnym.

Zgoda.... Ja dopiero później przypominam sobie temat. Jaki? jaki chcę. Żeby to choć powiedział wyraźnie, co mam pisać — gdzie tam! „Z życia szkolnego“ błysnęły mi jego słowa. Choć jestem po chorobie, ale wyskoczyłem w górę tak wysoko, że aż wapno z sufitu zmiotłem moją rozczochraną głową.

Porwałem pióro z takim impetem, aż z bólu wrzasło, a obecnie, gdy piszę, stawia chińskie kulasy i piszczy jak mysz pod miotłą. Ale do rzeczy, bo jakoś moje pióro zmiata od tematu i zaczyna pisać od rzeczy albo całkiem nie do rzeczy. A ja przecież miałem coś pisać o naszym życiu szkolnym. Oj! co to się nie dzieje w szkole; gdyby tak chcieć wiernie wszystko spisać, to nie wiem, czyby można zrobić na jednej wołowej skórze. Trzebaby całe stado wołów. Może chcecie, abym wam $\frac{1}{1000}$ tego opowiedział. Spróbuję streścić to wszystko do 10-ej potęgi.

Może chcecie o półroczu i naszym występie? No, zgoda, czy nie? Ponieważ nikt nie mówi, więc milczeniem jest znakiem twierdzenia.

Otóż trzeba wiedzieć wszem wobec, że przed półroczem (od Bożego Nar.) brać nasza szczerze pracowała, a pomimo, że narty aż się prosiły, aby nogi na nich i je same łamać, przecież po stoicku zachowując się, kuło się aż miło...

W parę dni przed półroczem, ten zdaje z jakiegoś przedmiotu, tamten, biegnąc za profesorem, pyta, czy będzie mógł pokazać swą mądrość w zakresie danego przedmiotu, a wszystko kręci się koło dwójki, po której następuje zwykle płacz i zgrzytanie zębów. W tych to dniach ukazuje się w domu jak straszne widmo list „pasztetowy“ z dwójkami, stojącymi jak drut.

Nareszcie po takim poście przychodzi dzień zapłaty: sprawiedliwi i niesprawiedliwi dostają tu swe grosze za całe półrocze. Dla jednych jest to dzień wspaniały, dla drugich gaśnie słońce na cały dzień.

Ale mniejsza o stopnie. Coś ważniejszego było. Co? Nasz chór miał w teatrze, jak i szkoły powszechne i seminarjum żeńskie, śpiewać kolendy.

Ba! śpiewać kolendy to lada kto potrafi, ale, że to był pierwszy występ naszego chóru, zrobiło to nielada sensację w szkole. Czuliśmy, że kilkumiesięczna praca w chórze na marne nie pójdzie a przeciwnie — przyniesie nam jaki taki zaszczyt. Nie bardzo więc przejmowaliśmy się tem, a czy tak było do końca, zobaczymy.

Rano dostaliśmy półroczne cenzury — po południu mieliśmy śpiewać w teatrze.

Już na generalnej próbie okazało się pewne zdenerwowanie wykonawców (zapewne źródło w stopniach). Mówimy: albo zupełnie spartaczmy, albo wyjdziemy najlepiej...

Długo jeszcze? Jeszcze śpiewa szkoła numer ten i ten... Aha... Długo jeszcze?

Seminarjum zebrać się za kulisami! Buch! buch! buch! waliło serce młotem w piersiach. Teraz my...

No! trzymać się wiara!

Za kulisami bałagan jak na jarmarku: dekoracje, pociąg „Pana Naczelnika... to ja“ i t. d. i t. d. a między tem wszystkim uwija się czerwony, spocyny mechanik teatralny, spełniając swe funkcje

PIEŚŃ WIECZORNA.

*Seledyny zachodu zemdlały,
Róży cienie cicho ścielą się do stóp;
Zefir zawiął jodłom, które łkały,
Cyt. rozbrzmiewa w skardze jakiś głos tu.
O przyjdź! owion mnie wonią twych włosów!
Daj mi ogień! ziemia zimna w srebrze,
Próżno klęczysz u stóp swego losu,
Próżno modlisz się, o szczęście żebrzesz.*

*O melodjo, rozmodlona w jodle,
Czemu płaczesz jodło, nie masz кому?
Patrz—tu stoją obok ciebie inne jodły,
Które również pragną czaru gromu.
Próżno płaczesz, wznosząc w niebo modły.*

*Aż zawrzało żywe serce w piersiach.
Kazać oczom wypatrywać ognia!
Bądźmy wszyscy prości, jaśni, szczerzy,
A ujrzymy Boga słońca do dnia.
I nad ranem gdy wiatr zdmuchnie mgły ruczaju,
Znajdziemy się wszyscy razem w raju.*

Gral.

i przygotowując dekoracje do wieczornego przedstawienia.

Ustawiać się! Buch! buch! buch! wali serce....
(odwaga zmyka w pięty, aż kurz leci).

Tenor I, II, bas I, III!

Mniejsi do przodu! Uwaga! Mechanik pyta:
Można odsłaniać? „Można“ kiwa głową dyrygent.

Bamm: bamm... gong. Stałem jak świeca i czuję okropny napływ odwagi jak u Machabeusza albo u Zagłoby i wtedy rozpacz, bohaterskie porywy, ból i t. d., wszystko to błyskało piorunem w mózgu i umierało gdzieś w przestworzu. Pamiętam, że jeszcze pomyślałem: Dziś nasz chór jest, albo znika z powierzchni ziemi....

Kurtyna majestatycznie zaczęła się podnosić. Zdębieliśmy, struchleliśmy — czekaliśmy tylko, czy skąd nie wypadnie i nie zagrzmi basem, jakiego ucho, ani oko nie widziało i słyszało. Zresztą niech sobie grzmi, byleby tylko krzywdy nam jakiej nie zrobił...

Wyszedł dyrygent. Publiczność kropi brawo; (żywemy, bo słyszymy) za co? Dyrygent się kłania — ciesz. Patrz na nas jak w słońce... przynajmniej nam się tak zdawało. Wdech..

Gdy się Chrystus rodzi... Śpiewamy. Nagle — co się stało? Głosu naszego nie słyhać. Śpiewamy, a cisza. W jednej chwili skamienieliśmy... już po nas. Koniec pierwszej kolendy, zaczynamy drugą... Rozpacz. To samo. Czujesz, że wydychasz powietrze, czujesz drżenie strun głosowych, język drewnieje, w ustach sucho... w oczach poprostu łzy.

Publiczność bije brawo... za co? Powarjowali, czy co, aby z naszej nędzy się natrzasać. Kurtyna spada, a my z przerażenia słowa nie możemy przemówić. Wróciliśmy na miejsca i tu języki nam się rozwiązały: jęczymy i narzekamy z powodu naszego krachu. Nikt nie zawinił, a zepsuliśmy. Tymczasem... widzowie nam winszują; dobrze było, słyhać było i jeszcze ze cztery „było“. Zapomnieliśmy, że głos ze sceny uchodzi w górę; publiczność go słyszy — wykonawcy nic.

Nas to właśnie spotkało.

Stan. Ozyp.

KRONIKA.

Echa życia koleżeńskiego—czasy obecne.

Zadaniem mojem jest: przedstawienie życia koleżeńskiego w jego naturalnej formie. Życie to przejawia się przedewszystkiem w różnych organizacjach, z pośród których na czoło należy wysunąć samopomoc pod prezesurą kolegi Władysława Furmanika. Samopomoc ma bardzo szerokie pole działania, to też, aby praca szła intensywnie, podzielono ją na trzy działy, a mianowicie: oświatowy, samokształceniowy i finansowy.

Dział oświatowy obejmuje: Komisję wieczorów dyskusyjnych, Komisję redakcyjną i czytelną. Na dział samokształceniowy składają się: Koło dramatyczne, dekoracyjne, muzyczne i sportowe. Do działu finansowego należą: pożyczki, zapomogi i sklepik.

Dział oświatowy.

Wieczory dyskusyjne istnieją na terenie seminarjum już od kilku lat i jak sama nazwa wskazuje, mają charakter dyskusji. Celem ich jest: rozszerzyć zakres wiadomości, zdobywanych w szkole, dać możliwość kolegom wypowiedzenia się w sprawach, interesujących ogół koleżeński i dążyć do ściślejszego pożycia koleżeńskiego. Komisja wieczorów dyskusyjnych, aby spełnić swe zadanie, obmyśla odpowiednie tematy, albo w wolnych wnioskach wysuwają je koledzy, chętni zgłaszają się do opracowania ich i na następnych wieczorach, wygłaszają. Po wygłoszeniu referatu nawiązuje się dyskusja; zwykle zdania kolegów są rozbieżne, wtedy zabiera głos przedstawiciel rady pedagogicznej i rozstrzyga kwestję sporną. Wieczory dyskusyjne zasadniczo powinny się odbywać raz w tygodniu w sobotę, lecz zachodzą często jakieś przeszkody, a przede wszystkim to, że w soboty urządza przedstawienia Koło dramatyczne.

Komisja redakcyjna taksamo jak wieczory dys-

kusyjne istnieje już od kilku lat. Zadaniem jej jest: mieć książkę redakcyjną w swej opiece, oceniać i wpisywać utwory, a później dawać kolegom książkę. Aby mogli zapoznać się z utworami tam zamieszczonemi. Bywają wypadki, że niektóre utwory odczytuje się na wieczorach dyskusyjnych, ale tylko wtedy, gdy temat dyskusji wyczerpie się zbyt szybko. Dzisiaj obok Komisji redakcyjnej, o podobnych celach lecz o szerszym zakresie pracy, jest Koło literackie, wskutek tego Komisja redakcyjna w najbliższym czasie przestanie istnieć, a praca ta przejdzie na barki Koła literackiego.

W roku bieżącym dzięki inicjatywie kolegi prezesa i ofiarnej pracy kol. Nowakowskiego przewodniczącego działu oświatowego, założono czytelnię, w której koledzy mogą spędzać pożytecznie wolne chwile od zajęć. Posiada ona kilkadziesiąt egzemplarzy pism periodycznych jak: Naokoło świata, Tygodnik Ilustrowany, Przegląd sportowy, Harcerz i wiele innych, a także z każdym tygodniem liczbą egzemplarzy wzrasta przez prenumeratę.

W związku z działalnością oświatową samopomocy są odczyty, wygłaszane w każdym miesiącu przez panów profesorów.

Dział samokształceniowy.

Koło dramatyczne powstało w roku bieżącym, a jednak przy usilnej pracy zdołało już dać kilka przedstawień, a mianowicie: II cz. Dziadów Mickiewicza, scenę więzienną z III cz. Dziadów Mickiewicza, Wieczór wigilijny, wyjątek inscenizowany z Chłopów Reymonta, X pawilon Staszczyka. We współpracy z Kołem dramatycznym są koła: muzyczne i dekoracyjne.

Założycielem Koła krajoznawczego, które nosi miano Aleksandra Janowskiego, był ś. p. pan prof. Maksymilian Morecki w roku 1920/21. W czasie swego istnienia przechodziło ono różne koleje.

Obecnie praca w kole jest prowadzona bardzo dobrze i umiejętnie przez kolegę J. Saweckiego. Posiada ono na swe usługi aparat fotograficzny—własność szkoły, oraz busołą, mapy polowe i t. p. rzeczy, które są własnością Koła. Koło krajoznawcze pozostaje w ścisłym kontakcie z Towarzystwem Krajoznawczem w Krakowie, które zgodziło się wydać numer „Orlego lotu” poświęcony pamięci ś. p. prof. M. Moreckiego. Materiał do „Orlego lotu” już wysłano.

Obok kół wyżej wymienionych istnieje jeszcze koło sportowe, które może dlatego, że zima stała na przeszkodzie, nie posunęło się zupełnie w swej pracy. Jest nadzieja, że z wiosną i koło sportowe wyruszy w pole.

Dział finansowy.

Jakkolwiek nie należy to do mnie postanowiłem jednak wykazać rozwój materialny samopomocy.

Otóż rzecz przedstawia się następująco:

W roku	1919/20	sam. posiad.	4090 kor.	37 hal.
"	1920/21	"	10893 mk.	09 fen.
"	1921/22	"	18152 mk.	43 fen.
"	1922/23	"	23 zł.	96 gr.
"	1923/24	"	672 zł.	47 gr.
"	1924/25	"	1322 zł.	81 gr.
Obecnie posiada			1542 zł.	99 gr.

Gotówka samopomocy stale wzrasta, czyto przez składki regularne (10 gr. miesięcznie płaci każdy kolega) czy też z dochodów nadzwyczajnych. Pieniądzy tych używa samopomoc na pożyczki krótko i długoterminowe, zapomogi, sklepik i prenumeratę pism do czytelnicy. Zapomogi bywają udzielane

kolegom najbiedniejszym, a ci zwracają je dopiero po ukończeniu szkoły.

Oprócz samopomocy jako organizacji, do której należą wszyscy koledzy, istnieją samorządy kursowe, mające za zadanie: pomagać w pracy zarządowni samopomocy i organizować życie koleżeńskie na poszczególnych kursach.

Drużyna harcerska.

VI L. D. H. imienia Szymona Konarskiego, jest drużyną, do której należą tylko uczniowie seminarjum, drużynowym jest również uczeń seminarjum, Antoni Sikora. (Więcej o drużynie nie piszę, gdyż harcerstwu poświęca się specjalny dział).

Pracownia entomologiczna.

Kierownikiem pracowni jest pan prof. Dryja, który swą pracą zdołał doprowadzić do tego, że pracownia stała się placówką, niosącą swe wytwory, jeśli nie dla wszystkich szkół państwowych, to przynajmniej dla wszystkich seminarjów w Polsce.

Pracownia w obecnych czasach hoduje całemi tysiącami owady różnego typu i w zależności od potrzeby preparuje je w różnych stadiach rozwojowych i w różnych pozach. Prace związane z hodowaniem i preparowaniem owadów spełniają uczniowie zamilowani entomolodzy. Entomologami są tylko ci uczniowie, którzy zgłaszają się sami, nie zaś wszyscy z obowiązku, a jednak grupa entomologów jest dość liczna. Ci zamilowani entomolodzy pracują w godzinach wolnych od zajęć szkolnych. Niektórzy koledzy poświęcają się tej pracy wprost z zaparciem się siebie, co najlepiej zilustruje nam ilość godzin poświęconych tej pracy.

Otóż niektórzy koledzy zdołali dać przeszło tysiąc godzin w ciągu roku szkolnego. Jedyną nagrodą, jakiej mogą się spodziewać ci koledzy, są wycieczki, w których najgorliwsi uczestniczą bezpłatnie. Jedną taką wycieczką odbyła się w roku 1924 w Tatry i Pieniny, a wzięło w niej udział czternastu kolegów.

Obecnie korzystają z pracowni, a zarazem dla niej pracują, nie tylko koledzy z seminarjum, lecz i z innych zakładów.

Prace plastyczne.

W zbiorach gabinetu rycin M. Muzeum przemysłowego im. D-ra A. Baranieckiego w Krakowie znajdują się dwie teki oryginalnych prac, wykonanych przez uczniów P. S. N. M. w Lublinie. Teką pierwszą z r. szkolnego 1923/4, wydana w ograniczonej liczbie egzemplarzy pt. „Pierwsza próbki ksylograficzne uczniów P. S. N. w Lublinie” zawiera jeden linoryt i szesnaście drzeworytów komponowanych, rysowanych i ciętych przez uczniów I i II kursu w ciągu półrocza 1923/4 r. szk. Prace te, odbite ręcznie na papierze t. zw. japońskim — jak się wyraziły „Rzeczy Piękne” (zeszyt 3, rocznik 4) — „wypadły niezmiernie interesująco”. W tej samej recenzji zaznaczono, że w drzeworytach „przejawia się... nadzwyczajne poczucie materiału u uczniów”. O tece tej jest również mowa w roczniku III „Kształtu i Barwy” we wzmiance z powodu wystawy orjentacyjnej prac plastycznych uczniów P. S. N. w Lublinie urządzonych w styczniu 1923.

Teka druga z r. szk. 1924/5, przygotowana w jedynym egzemplarzu, zawiera 77 oryginalnych wycinanek papierowych, wykonanych przez trzech uczniów drugiego kursu: Jana Kamińskiego rodem z pow. janowskiego, Pawła Romanka — z krasnostawskiego i Mieczysława Mateńkę — z pow. łukowskiego.

Chór i orkiestra.

Chór i orkiestra istniały już w roku ubiegłym, lecz stały bardzo nisko, dopiero w roku bieżącym pan prof. Bobyk postawił je na należytych poziomach. Orkiestra do tej pory była wyłącznie skrzypcowa, a dopiero w najnowszych czasach zakupiono altówkę i wiolonczelę.

Gry i zabawy.

W każdym tygodniu jednego dnia po lekcjach poszczególne kursy zbierają się na gry i zabawy o charakterze sportowym, prowadzone przez pana Piechotę, profesora gimnastyki. Od czasu do czasu urządza się rozgrywki międzykursowe. Kurs zwycięski otrzymuje nagrodę wędrowną w postaci obrazu.

Ważniejsze wypadki, które zaszły w roku bieżącym.

Do najważniejszych wypadków, mających miejsce w roku bieżącym, należą: udział w oddaniu hołdu „Niezanemu Żołnierzowi“, śmierć ś. p. pana profesora Dawidowicza, udział chóru w „Wieczorze kolend“, urządzonym staraniem szkół powszechnych, udział w poranku, urządzonym staraniem kół rodzicielskich i akademii VI L. D. H. na cześć patrona drużyny Szymona Konarskiego.

W dniu 1 listopada delegacje kursowe i rady pedagogiczne wyszły na dworzec kolejowy, aby uczcić zwłoki „Niezanego Żołnierza“, przewożone ze Lwowa do Warszawy. Dnia 2 listopada cała szkoła wysłuchała nabożeństwa, odprawionego za duszę „Niezanego Żołnierza“.

Po lekcjach, d. 21.I, około godziny szóstej wieczorem przechodził p. prof. Dawidowicz przez przejazd kolejowy, gdzie zachwiał się i upadł na ziemię. Przechodnie wezwali felczera kolejowego, lecz p. prof. już nie żył, a że nie miał żadnych dokumentów przy sobie, złożono zwłoki naprędce w wagonie kolejowym i policja weszła do poszukiwania jego nazwiska. Dopiero następnego dnia dowiedziała się o tem dyrekcja szkoły, zaopiekowała się zwłokami i pogrzebała je. Po panu profesorze Dawidowicz zostało kilka obrazów w różnych miejscach Polski i Rosji jako świadectwo jego życia.

Na „Wieczorze kolend“ chór śpiewał „Gdy się Chrystus rodzi“, „Judzką krainę“ i „Chór anielski“. Miało to miejsce 1-go lutego, 7-go marca zaś na poranku, urządzonym przez koła rodzicielskie, orkiestra nasza odegrała „Śmierć Azy“. Recenzje do obydwóch występów ustosunkowały się przychylnie.

W tych kilku punktach naszkicowałem szkielec życia w szkole. Niektóre z tych punktów zostały rozwinięte w osobnych artykułach. *Adam Cybula.*

Historja założenia P. S. N. M. w Lublinie.

Dziesięć lat już minęło od chwili, kiedy ś. p. Oktawian Zagrobski otrzymał od okupacyjnych władz austriackich koncesję na prowadzenie jednorocznego kursu nauczycielskiego. Kurs ten, mający na celu kształcenie nauczycieli, był niejako jednorocznym seminarjum nauczycielskiem. Do grupy, stanowiącej zarząd kursu, weszli oprócz ś. p. Oktawiana Zagrobskiego, ś. p. Wiktor Strzembosz i Marja Nowakowska (obecnie p. Brydowa). Jednoroczny kurs nauczycielski trwał tylko jeden rok, ponieważ w r. 1916, jako jego spadkobierca powstało prywatne seminarjum trzyletnie, którego dyrektorami byli: początkowo Supronowicz i od r. 1918 Kazimierz Pieracki. W tym samym czasie istniało w Lublinie prywatne czteroletnie seminarjum, założone przez Stow. Naucz.

Polskiego, a zostające pod kierownictwem Kazimierza Chmielewskiego.

W roku 1919 na propozycję wizytatora Państw. Semin. Ignacego Dzierżyńskiego oba seminarja połączyły się, a niedługo potem upaństwowiono je, jako seminarjum pięcioletnie. Do seminarjum uczęszczały obok uczniów i uczennice z zastrzeżeniem, że kiedy te skończą, przyjmować się więcej uczennic nie będzie.

Pierwszym dyrektorem pięcioletniego seminarjum był Kazimierz Pieracki, od lipca zaś 1921 r. stanowisko objął p. dyr. Władysław Bryda.

Pracownia entomologiczna.

Na terenie naszego seminarjum obok pracowni chemicznej znajduje się pracownia entomologiczna. Ostatnia została urządzona w r. 1922 przez p. Antoniego Dryję i cieszy się dotąd szerokim rozgłosem. Zasługuje też na uwagę z wielu względów, a przede wszystkim dlatego, że jest pierwszą pracownią entomologiczną w Polsce.

Twórca i kierownik pracowni wskutek mozolnej i pełnej poświęcenia pracy w wielu wypadkach przy ocenie rezultatów pracy, zasłużył na uznanie.

I tak — pierwszym niejako występowaniem była wystawa entomologiczna od 2—7 lutego 1924 roku. Wystawę zwiedziło wielu wybitnych gości z różnych krańców Polski, wiele wycieczek szkolnych, jakoteż i poszczególnych osób. W związku z tem w marcu tegoż roku nadeszło z kuratorjum pismo wyrażające uznanie p. Dryji za urządzenie wystawy.

W ostatnich czasach, przy końcu listopada 1925 r. p. Dryja otrzymał dyplom nauczyciela do nauczania przyrody i rysunków za wybitną pracę w zakresie entomologii. 4 lutego 1926 r. p. Dryja za preparaty entomologiczne, dane na Międzynarodową Wystawę Florencką, otrzymał od XIII zjazdu lekarzy i przyrodników złoty medal.

Młodzież szkolna, pracująca pod kierownictwem p. Dryji, okazuje wiele zainteresowania i czerpie z ideowej pracy na tem polu wiele korzyści.

Poświęcenie sztandaru szkolnego.

Po obraniu patrona szkoły, którym został jeden z nieśmiertelnej trójcy wieszczów polskich, Juliusz Słowacki, 25.II 1923 r. odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru szkolnego.

Sztandar nabyła młodzież wspólnymi siłami przy pomocy składek pieniężnych i dlatego uroczystość owa była dla niej podwójną uroczystością.

Ceremonja poświęcenia sztandaru przez ks. prefekta L. Górnieckiego i wręczenie go przez p. Dyrektora uczniom starszych kursów — w obecności zaproszonych gości odbyła się w bardzo uroczystym nastroju. Młodzież pod wpływem przemówień księdza i p. Dyr. uświadomiła sobie owe wielkie cele, do jakich jest przeznaczona w swej ideowej pracy i poznała nowy, nieznany świat ducha.

Na zakończenie odbyła się defilada przed sztandarem na dziedzińcu szkolnym i zdjęcie fotograficzne, które miało być świadectwem uroczystej chwili dla przyszłości.

Kupno akcji.

Młodzież naszego seminarjum oprócz monotonnego życia szkolnego interesuje się też życiem społecznym o czem świadczy kupno 2 akcji Banku Emisyjnego (luty 1924 r.) i żywy udział we wszystkich uroczystościach narodowych.

Sport.

Wychowanie fizyczne dzięki p. prof. Piechocie, który rzeczywiście kocha swój zawód, z każdym rokiem staje na wyższym poziomie.

Uczniowie seminarjum zachęcani przez niego okazują wiele zainteresowania na polu gimnastyki, czego dowód dali w wielu występach publicznych. W maju 1924 r. odbyła się rozgrywka piłki koszykowej z drużyną im. Zamojskiego z wynikiem 6:3 na korzyść uczniów seminarjum.

15 czerwca 1924 r. wspólnie z seminarjum żeńskim odbył się popis gimnastyczny na boisku W.K.S.

9 i 10 października 1924 r. w zawodach międzyszkolnych udział uczniów semin. wypadł bardzo dobrze. W tych to zawodach otrzymało dyplomy 5-iu uczniów, trzech za pierwsze miejsce, dwóch za drugie w różnych konkurencjach (rzut dyskiem, oszczepem, kulą i t. p.).

Wycieczki.

Rok 1921 — wycieczka do Krakowa, Ojcowa i Wieliczki, druga grupa do Kazimierza i Puław.

Rok 1922—wycieczka do Lwowa i 10-cio dniowa wycieczka w Tatry i Pieniń.

Rok 1923—wycieczka młodszych kursów do Kazimierza i Puław, starszych do Sandomierza.

Rok 1924—wycieczka kursów IV i V do Warszawy, w lipcu tegoż roku odbyła się wycieczka entomologiczna w Tatry i Pieniń.

Rok 1925—wycieczka do Warszawy.

Oprócz wycieczek większych odbywają się dwa razy do roku jednodniowe wycieczki do pobliskich miejscowości, mające charakter majówek, które spędzane w rozkosznych zakątkach leśnych i przy pięknej pogodzie wiosennej, lub jesiennej—wchodzą na długo do skarbcza arcymilych wspomnień.

Stef Dymara.



**MŁODZIEŻ PAŃSTW. SEMIN. NAUCZ. MĘSKIEGO W LUBLINIE
UGRUPOWANA KURSAMI PRZED SZTANDAREM.**

PRACOWNIA ENTOMOLOGICZNA PRZY PAŃSTWOWYM
SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIM MĘSKIM W LUBLINIE.

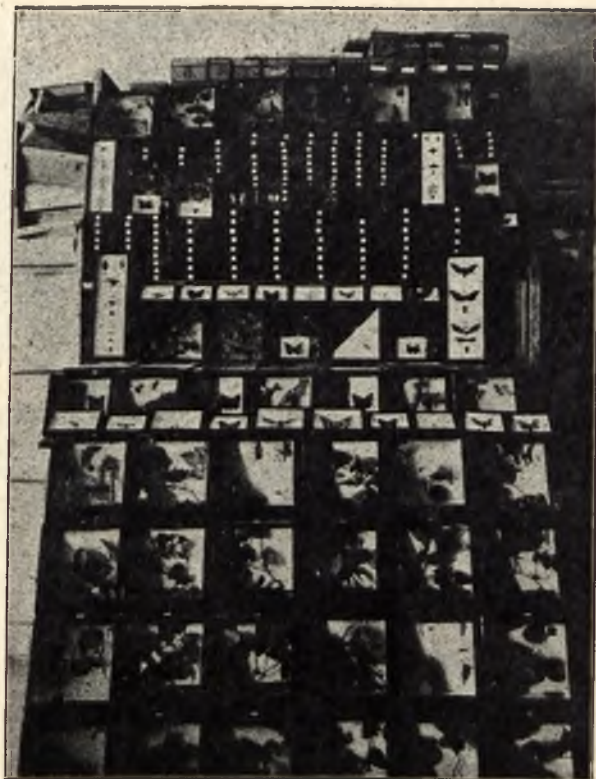


Altana entomologiczna przy P. S. N. M. w Lublinie.
Prof. Antoni Dryja przy swoim ulubionym warsztacie pracy.



Prof. Antoni Dryja i Michał Powtak
w otoczeniu najpilniejszych uczniów-entomologów.

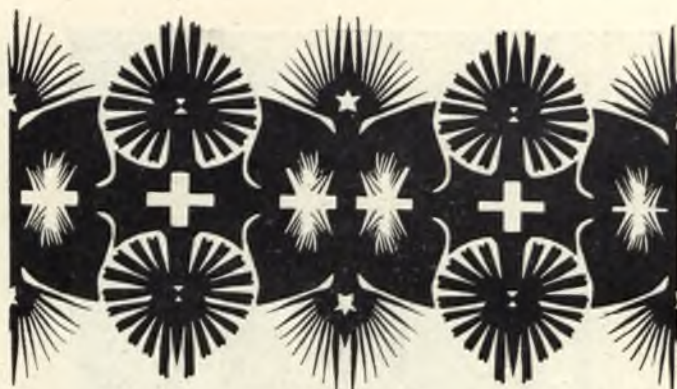
**PRACOWNIA ENTOMOLOGICZNA PRZY PAŃSTWOWYM SE-
MINARIUM NAUCZYCIELSKIM MĘSKIM W LUBLINIE.**



Preparaty wykonane przez uczniów P. S. N. M.



Uczniowie P. S. N. M. w Lublinie, uczęszczający na zajęcia entomologiczne.
Pośrodku siedzą: prof. Michał Powtak, dyr. Władysław Bryda
i profesor Antoni Dryja, kierownik pracowni entomologicznej.



Reprodukcje prac



Jana Kamińskiego z Księżomieszy.



Wycinanki wykonane w roku szkolnym 1924/5.

**2 TEKI DRZEWORYTÓW UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO SEMINARIUM
NAUCZYCIELSKIEGO MĘSKIEGO W LUBLINIE.**



Michał Ziółkowski.



**Stanisław
Maciąg.**

THE UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS
CHICAGO, ILL. 60637



1
2
3
4
5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20
21
22
23
24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53
54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83
84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100



**REPRODUKCJA RYSUNKU ZYGMUNTA KOZŁOWSKIEGO,
ucznia I-go kursu.**



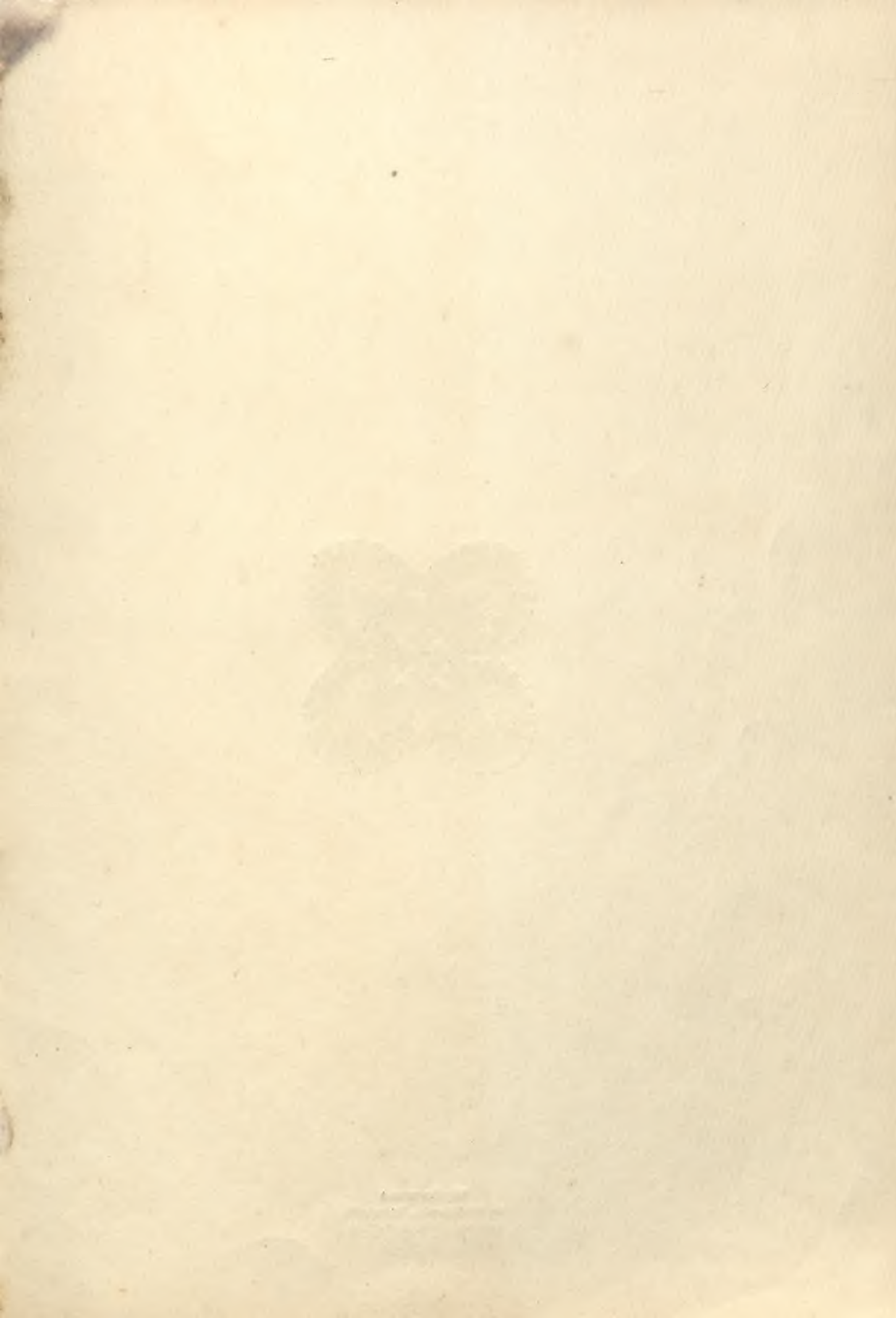
Prace z roku szkolnego 1924/5.



**Drzeworyt
Stanisława Maciąga.**

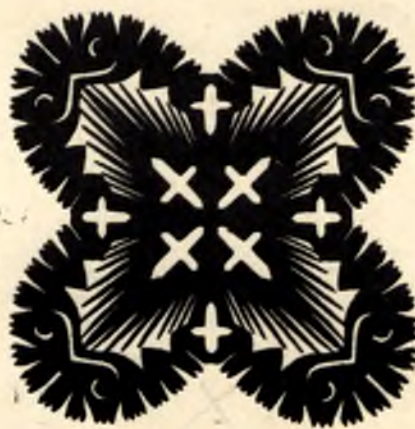


Wytłoczono 500 egzemplarzy w drukarni „Sztuka” w Lublinie. Na okładce rysunek Michała Ziółkowskiego i wycinanka Jana Kamińskiego. Klisze na str. 26—27 oraz dwie na str. 28, wypożyczone zostały przez redakcję „Przeglądu Lubelsko-Kresowego”. Wszystkie rysunki drzeworyty i wycinanki, reprodukowane w tej jednodniówce, wykonali uczniowie P. Seminarjum Nauczycielskiego w Lublinie. Druk ukończono 28 kwietnia 1926 roku.



Biblioteka im Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

3792 c



**Wytłoczono
w drukarni „Sztuka”,
Lublin, Kościuszki 8.**